

* PAX *

DZIŚ i JUTRO

DOMINIK HORODYŃSKI

Korespondencja z Genawy

ZMIANA ATMOSFERY

W BREW olbrzymim rozmiarom kampanii pesymizmu i zastraszenia wojennego, które charakteryzowało „akcję przygotowawczą” do konferencji genewskiej w prasie amerykańskiej i części prasy zachodnio-europejskiej, można już dziś — po tygodniowej debacie publicznej i bogatym w aktywność dyplomatyczną week-endzie — powiedzieć, że dotychczasowy dorobek konferencji stanowi duży — i dla wielu obserwatorów nawet zaskakujący — sukces sił pokojowych. Atmosfera jest dziś całkiem inna niż przed tygodniem.

Nadzwyczaj szybko — przewidywane zresztą przez nas — przezycie trudności proceduralnych było pierwszą niespodzianką dla pesymistów. Lubiąca ciekawości prasa genewska lansowała, że gdy rano 26 kwietnia min. Eden odwiedził min. Molotowa, by uzgodnić z nim sprawę przewodnictwa obradom, rozmawiali oni ze sobą krótko i rzeczowo: jeden z ministrów (dziennikarze nie precyzują który) miał zapytać: kogo proponujemy na trzeciego przewodniczącego? — W ten sposób w ciągu paru minut zdecydowano, że przewodniczącymi będą kolejno szefowie delegacji Szwajcarii, ZSRR i W. Brytanii.

Sprawy jednak znacznie doniósłszy niż pokonanie trudności proceduralnych decydują o dotychczasowych osiągnięciach konferencji.

KŁĘSKA PEWNEJ POLITYKI AMERYKAŃSKIEJ

MIMO niektórych wyjątków można powiedzieć, że większość obecnych tu dziennikarzy zdaje sobie sprawę ze swej odpowiedzialności wobec wielkości zagadnień będących w grze i — mimo bardzo różnych poglądów — stara się w swych relacjach unikać akcentów, które zadrżałyby sytuację i utrudniały osiągnięcie atmosfery porozumienia. Porozumienie wymaga dobrej woli wszystkich stron, trzeba o nie wytrwale walczyć, rezygnując nieraz z ostrych replik w stosunku do zagadnień mniej istotnych. Takie stanowisko — troski o atmosferę porozumienia — dotyczy i nas, dziennikarzy polskich. Naprawdę z dużą uwagą kontrolujemy, czy nasze sprawozdania oddają prawdziwy przebieg konferencji, służą równocześnie sprawie porozumienia. Niestety, nie wszyscy delegaci ułatwiają nam to zadanie.

Przygotowując się do konferencji w Genewie — Dulles przeleciał w swoim specjalnym samolocie ponad 20 tys. km., znacznie więcej niż Czou En-lai, którego ojczyzna jest przecież znacznie odleglejsza od dawnej siedziby Ligi Narodów. Cały ten wielki trud kierownika departamentu stanu w paru dni poszedł na marne, co więcej — obrócił się przeciwko niemu i przeciwko inspirowanej przezeń polityce amerykańskiej. Polityka ta nie wytrzymała próby obecności swego rzecznika na jednej sali wraz z min. Molotowem oraz ministrami Czou En-laiem i Nam-Irem. Zważywszy, że ministrowie ci są realnie istniejącymi ludźmi i reprezentują bardzo realne siły społeczne, dojdź musimy do wniosku, że polityka amerykańska nie brała pod uwagę rzeczywistości i nie liczyła się z nią. Lojalnie przyznać trzeba, że są poszlaki wskazujące, iż Dulles przewidział swe niepowodzenie. W każdym razie od konferencji berlińskiej, w szczególności zaś w ostatnich tygodniach, puścił on w ruch wszystkie sprężyny, by uniemożliwić konferencję genewską i nie dopuścić do konfrontacji swej polityki z rzeczywistością w Azji. Te zabiegi, choć przez moment doprowadziły świat na skraj wojny, okazały się jednak nieskuteczne, bo

również oparte na nierealnych przesłankach.

Przypomnijmy wydarzenia. Mniej więcej przed miesiącem, gdy szef sztabu armii francuskiej — generał Ely — przybył do Waszyngtonu, Dulles wygłosił wojownicze przemówienie wzywające naród amerykański i tzw. wolny świat do czynnego przeciwstawienia się „agresji komunistycznej w Azji”. 16 kwietnia wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, Nixon, zapowiedział światą wojnę przeciwko „komunistom” w Wietnamie i w całej Azji — stwierdzając, że jeżeli Francja nie jest zdolna wykonać swej „misji”, Ameryka musi przyjąć ciężar walki na siebie. To oświadczenie, które wywołało panikę opinii francuskiej, poparte zostało w całej rozciągłości przez jednego z dyktatorów partii republikańskiej i — podobnie jak Nixon — przedstawiciela „China-Lobby” (tak nazywają grupę senatorów amerykańskich zabiegających na dostawach dla Formozy i popierających Czang-Kai-Szeka, wojnę w Azji itd.) senatora Knowlanda i uzupełnione przez niego „uspokajającym” komentarzem, że wojna w Azji nie będzie wymagała wysiłki liczących lądowych wojsk amerykańskich, ponieważ wystarczy „ludzkie efektywność” wolińców w Azji pod warunkiem, że otrzymają wystarczające poparcie lotnictwa i floty od innych narodów zdolnych im tego poparcia udzielić.

Po tych oświadczeniach amerykańska flota wojenna zjawiała się w wybrzeżach chińskich, Dulles zaś ponownie przyleciał do Paryża, by zapisać na ostatni guzik „wspólny front” genewski trzech mocarstw zachodnich. Przywiózł on ze sobą dwie wersje tego „wspólnego frontu”. Pierwsza, niezmiernie prosta, polegała na wykorzystaniu tragedii Dien-Bien-Phu i uzyskaniu oficjalnej prośby rządu francuskiego o interwencję bombardierów amerykańskich. Powodzenie tego planu zależało od dwóch warunków: od zachowania się min. Bidault (a na niego mógł Dulles liczyć) oraz udziału w „wyzwolenczej” imprezie rządu W. Brytanii. Ten ostatni warunek był niezbędny, tak że wzglę-

du na potrzebę utrzymania „jedności działań trzech mocarstw” — jak też przede wszystkim — na trudną sytuację wewnątrz-amerykańskiej administracji republikańskiej wobec jesiennych wyborów do kongresu. — W niedzielę rano, w przeddzień otwarcia konferencji, świat dowiedział się, że w Paryżu dzieją się rzeczy następujące: Bidault zapożyczył marzenia Dullesa i poprosił rząd Stanów Zjednoczonych o interwencję; admirał Radford — główny rzecznik wojny z Chinami, przewodniczący komitetu szefów amerykańskiego sztabu generalnego — przybył także do Paryża; wreszcie Eden — zamiast do Genawy poleciał do Londynu, by naradzić się z Churchillem. Przez parę godzin mogło się zdawać, że los świata znalazł się w ręku szaleńców.

Siła obozu pokoju, decyzja rządu angielskiego, gwałtowny sprzeciw francuskiej opinii publicznej, stanowisko narodów południowo-wschodniej Azji z Indiami na czele i brak pełnej swobody ruchów awanturników z Waszyngtonu — te wszystkie czynniki tworzące razem współczesną rzeczywistość międzynarodową spowodowały, że pierwsza wersja planu Dullesa, tak zdawało się bliska realizacji, w ciągu paru godzin rozspadła się w gruz. Bombowce amerykańskie nie mogły wystartować nad Dien-Bien-Phu.

Trzeba było co prędzej zakrzętać się wokół wersji drugiej, w myśl której „wspólny front” w Genewie polegać miał na zagwarantowaniu sobie niepowodzenia konferencji przez: ustawienie Chin Ludowych w charakterze oskarżonego wezwanego przed trybunał międzynarodowy, traktowanie Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej jako agresora, niedopuszczanie do obrad demokratycznego Wietnamu jako buntownika i wreszcie zobowiązanie, że trzej ministrowie występujące będą wspólnie nie podejmując żadnych niezależnych rozmów i stawiając stromom koreańskiej i wietnamskiej warunki: nie do przyjęcia, takie jakie zwycięzca stawia zwyciężonym. Taką to wersję amerykańskich rozwiązań azjatyckich problemów po spaleniu na panewce wersji pierwszej przywiózł

ze sobą min. Dulles, gdy zapowiadając na lotnisku genewskim poskromienie „agresorów”. Co zostało z niej dziś, po tygodniu, gdy przez Mediolan (gdzie zachęcał ma „ukochanego” przez lud włoski Scelbę do ratyfikowania wspólnoty europejskiej), sekretarz stanu powraca do Waszyngtonu? — Nie zostało nic poza goryczą porażki, goryczą, której nie umie ukryć skonsternowana prasa amerykańska.

Dulles wywozi z Genawy na koniec sukcesów tylko notatkę, która dotyczy go osobiście: dzięki zabiegom protokołu zdołał uniknąć przedstawienia się Czou En-laiowi. Na koniec przegranych natomiast figurują: Wstąpienie Chin Ludowych na arenę międzynarodową jako groźnego oskarżyciela imperializmu amerykańskiego w Azji, jako wielkiego mocarstwa, z którym wszyscy się muszą liczyć i o którego względy wielu zabiega; „wspólny front” odłożony został ad acta, pod bokiem Dullesa — Eden na obiedzie u Molotowa trącał się kieliszkiem z Czou En-laiem, a Bidault chcąc nie chcąc przygotowywał się do pertraktacji z delegatami Ho-Szi-Mina.

Dyplomacja amerykańska poniosła w pierwszej rundzie genewskiej jedną z największych klęsk ostatnich lat. Mówiłem na wstępie tych rozważań, że głównych przyczyn kompromitacji polityki dullesowskiej — które wprost ogłuszyły obecnych tu dziennikarzy amerykańskich — upatrywać należy w braku poczucia rzeczywistości kierownika departamentu stanu i jego mocodawców. Weźmy przykład jaskrawy: wystąpienie Dullesa w dyskusji nad sprawą Korei. Naprawdę przypominał się Villon w genialnym tłumaczeniu Boya: „kędz Szarlemań jest waleczny...” Dulles przemawiał jak średniowieczny potomek Karola Wielkiego z amerykańskim akcentem. Było to niesłychane przemówienie, pełne zaślepienia, poprzeczanych faktów, aż ciężkie od ideologicznej dokumentowanej przedziwnej spreparowanej cytatami z Lenina i Stalina; przemówienie-tyrarda ideologa z okopów św. Trójcy, fanatycznego rzecznika nowego świętego przymierza przeciwko siłom postę-



Z teki wietnamskiej Aleksandra Kobzięja — Siostra i brat

pu na świecie. Dulles przemawiał jak komtur w przededniu wymarszu na krucjatę — gdzie są rycerze? „Gdzie są słuchacze?” — zwołałby Słowacki.

Nie odwołując się do poezji Molotowa w swoim wystąpieniu czwartkowym parokrotnie spokojnie stwierdził, że te rzeczy się przeżyły — że minął czas kolonializmu, nie pora na krucjaty, że nie da się dziś siłą narzucić swej woli połowie ludzkości; żadna ale to żadna broń — ani atomowa ani „ideologiczna” — nie powstrzyma wyzwolenczej walki ludów azjatyckich, nie cofnie historii. Ludy te chcą żyć swoim życiem, według własnych praw i gustów i przegrać musi, kto nie chce brać tego pod uwagę.

Komtur średniowieczny zabłąkany w połowie XX wieku straszny może tylko do czasu. W pewnej chwili przestaje być groźny i zaczyna być śmieszny jak Don Kichot. W dodatku natura poskąpiła Dullesowi wdzięku bohatera Cervantesa. Sojusznicy przestawszy się go nagle bać, zaczęli go unikać. Polityka departamentu stanu znalazła się w izolacji. Dzisiejsza amerykańska agencja United Press kończy swój komunikat genewski wykrzyknikiem: „Gdzie się podzielił nasz sojusznicy europejscy?”. Skutki tej niesłychanej porażki dyplomatycznej trudne są do przewidzenia. Pod naciskiem sytuacji Eisenhower przetrzącił zagłębienie i zapowiedział dążenie do modus vivendi w Azji czyli linię określaną oficjalnie w Waszyngtonie jeszcze przed tygodniem jako niedopuszczalna kapitulacja. Zażalenie się autorytetu Dullesa jest ciężkim ciosem dla republikanów, ciosem tym dotkliwszym, że autorytet większości republikańskiej kongresu zachwiał się również. Kongres popierał wojenną politykę sekretarza stanu nie mogąc pójść za interwencją a sprzeciwiał się dopuszczaniu myśli o jakimkolwiek kompromisie, choć nie trudno było przewidzieć, że W. Brytania i Francja muszą poszukiwać kompromisu. W tej chwili w Waszyngtonie panuje chaos i zwolowane są gorączkowe narady.

Dulles opuścił Genewę wcześniej niż zamierzał, by zaprotęstować przeciwko kierunkowi obrad konferencji i zrzucić z siebie odpowiedzialność za jej wynik. Spadek, jaki przejmują dziś po nim Bedel Smith, jest nie do pozazdroszczenia.

MANEWRY BIDAULT I RZĄDU LANIELA

CZYTAJAC prasę francuską wszystkich odłamów wydawałoby się, że cele polityczne Francji na konferencji genewskiej są dość oczywiste. Konferencja ta stwarza okazję do zakończenia nieszczyśnej wojny indochińskiej, od 8 lat rujnującej Francję, a tym samym do odzyskania przez nią większej swobody ruchów w Europie. Okazuje się jednak, że tego właśnie najbardziej obawia się obecny minister

spraw zagranicznych Francji przewidując nie bez racji, że koniec szantazu indochińskiego zwiększy niezależność francuską w stosunku do Stanów Zjednoczonych, a tym samym oznaczać może koniec jego kariery politycznej. Obserwując taktykę Bidault w Genewie rozumie się lepiej jego stanowisko w czasie konferencji berlińskiej, kiedy to wielu ludzi nie mogło pojąć, dlaczego minister francuski za każdą cenę chce stwarzać warunki umożliwiającej odbudowę militarysty niemieckiego. Głównym celem jego zabiegów jest utrzymanie większości parlamentarnej (dzięki której utrzymuje się on przy władzy) i niedopuszczanie do rewizji polityki zagranicznej Francji, która to polityka przynosi od lat najbardziej gorzkie owoce.

Z jaką koncepcją rozwiązania problemu indochińskiego przyjechał Bidault do Genawy?

Najpierw zażądał bezpośredniej interwencji wojskowej Stanów Zjednoczonych w walkach pod Dien-Bien-Phu, posunięciem tym ryzykując wciągnięcie Francji w wojnę w Azji w znacznie szerszych rozmiarach niż dotychczas i biorąc na siebie odpowiedzialność wywołania wojny powszechnej. Dał klasyczny przykład awanturniejszej polityki: „après moi le déluge” w myśl tezy: „albo zwycięży moja lilia, albo niech zginie mój świat, mój kraj”.

Gdy to prowokacyjne posunięcie spełzło na niczym, otoczenie Bidault zaczęło rozpuszczać pogłoski, że minister francuski domaga się interwencji amerykańskiej z gór wiedział, iż Dulles musi mu odmówić. Żądał za pomocą wojskowej po to, by po odmowie uzyskać wolną rękę do samodzielnych pertraktacji z demokratycznym Wietnamem, których gwałtownie domaga się cała prasa francuska. Jak ta pogłoska wygląda w świetle dalszych poczynań min. Bidault?

Człowiek, który jest dyktatorem polityki zagranicznej Francji i — obok Plevena — odpowiada za zagładę dla celów politycznych najlepszych oddziałów armii francuskiej w Dien-Bien-Phu, zaczął od tego, że — nazywając z uporem żołnierzy Ho-Szi-Mina „buntownikami” — w pierwszej rozmowie z min. Molotowem zastosował unik oświadczenia, że nie posiada dostatecznych pełnomocnictw, by zaakceptować udział demokratycznego Wietnamu w konferencji genewskiej i musi się porozumieć z Parwem oraz Bao-Daiem i Dullesem. W drugiej rozmowie poprosił ministra radzieckiego o pośrednictwo w sprawie rozjemstwa w Dien-Bien-Phu.

I znów prasa nasświetliła przez „Quai d'Orsay” rozpuściła na temat stanowiska radzieckiego w tych dwóch rozmowach poważne wersje zmierzające do zaognienia atmosfery genewskiej. Według tych wersji delegacja radziecka utawniła treść rozmów Bidault-Molotow mimo zastrzeżenia ich tajności. Poza

(dokończenie na str. 7)



Pałac Narodów w Genewie

KSIĘŻA ROBOTNICZY I WŁADZEA UBOGICH

Wolny Wietnam

Pod powyższym tytułem francuski, popularny miesięcznik katolicki „Esprit”, w numerze z 20 czerwca 1954 r., opublikował artykuł, którego autorem jest znany publicysta Albert Béguin. Sądząc z napływających do naszej redakcji listów (jeden z nich był drukowany w ostatnim numerze „Dziś i jutro”) sprawność robotniczym wzbudziła duże zainteresowanie wśród naszych czytelników. Pragnąc umożliwić im dalsze pogłębienie znajomości tego problemu oraz chcąc zapoznać ich ze stanowiskiem, jakie w tej sprawie zajęli postępowi intelektualiści francuscy, publikujemy poniżej artykuł Alberta Béguin w obszernych wyjątkach.

Wypaddingi, które w ciągu ostatnich kilku miesięcy zaszyły w łonie Kościoła katolickiego niepokojące wieści zarówna we Francji jako że gatunka oraz wolią głębię wzbudzenie nawet pro-socjalistycznym katolikami. Już od dawna dawna nie wydarzyło się nic równie poważnego. Jest to jeden z tych decydujących momentów, gdy zachowanie milczenia lub wyrażanie się ze zbyt wielką ostrożnością jest rzeczą nie do wybaczenia. Wydaje się że obowiązkiem naszym jest nie tylko zrozumieć to wydarzenie lecz także — z całym możliwym spokojem — je wyjaśnić.

Zarządzenia różniące się ostаточно skasowaniu istniejącej obecnie misji robotniczej oraz zabieg chirurgiczny narzucony francuskiemu zakonowi dominikańskiemu zapoczątkowały przesilenie, którego skutki w czasie ich donosności nie dają się jeszcze określić. Nie ulega już jednak wątpliwości, że postanowienia te, o których nie zważam się powiedzieć, że powzięte zostały z najpewniejszym zlekceważeniem sytuacji historycznej i przede wszystkim za konkretną sytuację we Francji, nie tylko zadają szkodę cierpienia ludziom, do których zostały zastosowane lecz również i tym wszystkim chrześcijanom, którzy całym swym sercem uczestniczyli w wierze, nadziei i godnych podziwu wysiłkach tych księży.

Staliśmy obecnie wobec decyzji ogłoszonej przez Episkopat francuski. Decyzja jest faktem, na który nie mamy, niestety, żadnego wpływu, a nie mamy najmniejszego wpływu na jej skutki, a w końcu przestał wierzyć w te obietnice, stwierdziwszy ich rzekomo bezskuteczność. W takim to właśnie ujęciu należy starać się zrozumieć misję księży robotników.

Albert Béguin nie zgadza się z tymi którzy twierdzą, że eksperyment ten jest już zakończony i można o nim mówić tylko jako o epizodzie, który porzucił wielkie nadzieje. Piszcie on: „Jeśli nawet nadzieja zrodzona w chrześcijaństwie francuskim zdaje się gasnąć, jeśli musimy się wyrzec kontynuowania usiłowań, niezaprzerzenie słusnych w swych przesłankach i owocnych w swych pierwszych realizacjach to jednak próba ta była, jest i będzie świadectwem i prototypem. Jest to jednak doświadczenie, które przyniesie żadne zarządzenia. Świadectwo to nie może być cofnięte a społeczeństwo współczesne, wbrew pozorom wrażliwe na każdy odłbek światłości, oczekuje takiego świadectwa.

Apostolska praca księży robotników z założenia swego jest wieloletnia, a skuteczność jej — niezliczona. Należy, aby Kościół i księża robotnicy pozabawili swojej pierwotnej misji, znaleźli sposób ponownego świadczenia i wyjawiania tego, co się powinno wiedzieć o ludziach cierpiących dlatego, że ciernie i żłazki walczących dlatego, że trwają w walce, czyli w nadziei. Poznawanie bowiem nieszczęścia tam gdzie ono jest, wykrywanie nadziei tam gdzie się ona znajduje, jest — przede wszystkim — czynnością Kościoła. Księża robotnicy podjęli się tej czynności ku wielkiej korzyści całego Kościoła, pouczając w ten sposób swych przełożonych i wszystkich chrześcijan. Przeczytali się oni w ten sposób do przywrócenia w pewnym stopniu powszechności Kościoła jako ciała, w którym słowo Boże tylko pewnej, ściśle określonej społeczności, części ludzkości. Jest to przede wszystkim świadectwo kapłańskie... Misja Parzyla bowiem nie wynika z planu Hierarchii skazującej nowej metody szerzenia Ewangelii, lecz narodziła się w świadomości kilku księży, z kszędem Godin na czele, którzy pojmowali tę pracę apostolską jako zrealizowanie swego kapłaństwa nie mogącego się dawać rozwinąć w pełni wódecie spełnienia tradycji i obowiązków. Nawet popelnione błędy wskazują na to świadectwo kapłańskie: rozterka tych księży między solidarnością robotniczą a wiennością Kościoła to nie jest niczym innym jak wyjątkowym momentem w ich życiu, w którym odwiecznej rozterki Kościoła między obecną a jego wspólnotnością a jego

W dalszej części swego artykułu publicysta francuski analizuje oświadczenie, które w sprawie robotniczej, który stwierdzają że kapłaństwo nie da się pogodzić z pracą. Oczywiście chodzi tu o pracę rzymską, gdyż kościół nigdy nie zabraniał księgom zajmowania się pracą naukową czy też administracyjną nie mającą nic z religią wspólnego. Albert Béguin pisze:

„Jeśli faktycznie praca robotnika jest zbyt ciężka dla człowieka, należy się zastanowić, co istotnego przedsięwzięli chrześcijanie celem przyniesienia ulgi społeczeństwu społeczeństwu. Nie oni to przecie lecz ruch robotniczy rozpoczął walkę o wprowadzenie sprawiedliwości i przywrócenie godności pracy a wysiłki te nie znalazły zrozumienia w świecie chrześcijańskim i poparte zostały jedynie przez zażywców i listki robotniczych. W pięknej trójce o nieskazitelności kapłaństwa chce się je teraz uchronić od skalania pracą w środowisku robotniczym. Otwiera to olbrzymie zagadnienie dotyczące form i stanowisk kapłaństwa w społeczeństwie, które do wszystkich zaś w społeczeństwie przechodzącym okres przekształcania się... Wiem, że kapłaństwo, zgodnie z prastarym określeniem Kościoła katolickiego, nakładę temu, który tę godność posiada, szczególnie w społeczeństwie, które nie ma i nie trzeba go pielęgnować, niż kołkołowik innego chronić. Należy tylko zastanowić się jakiego rodzaju i przeciwko czemu ma być ta ochrona oraz czy ostrożność nie jest tu, podobnie jak w katolicyzmie, stanowiącym wy-padkach, największą nieostrożnością... Chodzi bowiem o głoszenie Słowa Bożego wśród ludzi, tam gdzie się oni znajdują. Takie jest kapłaństwo w Kościele, prowadzącym misję, takim pozostaje w katolicyzmie, takim jest, mających za zadanie „utwierdzić Kościół wśród mas, we wszystkich środowiskach”. Wiedział on bowiem, że nie można ochrzcić jakiegos środowiska, jeśli się do niego nie dotrze...”

Wydają się tu konieczne gruntowne badania teologiczne, celem określenia „nowej duchowości kapłańskiej” dla epoki nie podobnej w niczym do pierwszych wieków chrześcijaństwa. Nie znajdujemy się w położeniu tych, którzy walczyli z katolicyzmem, nie wiążącemu światu nieznanemu jeszcze wtedy, nieoświadczonym Ewangelią. My żyjemy w świecie lub w obliczu świata, który wieść tę już słyszał, przez drugi czas ufał, że skutkiem tych obietnic nawet życie Kościoła, które nie przestaje być, a w końcu przestał wierzyć w te obietnice, stwierdziwszy ich rzekomo bezskuteczność. W takim to właśnie ujęciu należy starać się zrozumieć misję księży robotników.

Albert Béguin nie zgadza się z tymi którzy twierdzą, że eksperyment ten jest już zakończony i można o nim mówić tylko jako o epizodzie, który porzucił wielkie nadzieje. Piszcie on: „Jeśli nawet nadzieja zrodzona w chrześcijaństwie francuskim zdaje się gasnąć, jeśli musimy się wyrzec kontynuowania usiłowań, niezaprzerzenie słusnych w swych przesłankach i owocnych w swych pierwszych realizacjach to jednak próba ta była, jest i będzie świadectwem i prototypem. Jest to jednak doświadczenie, które przyniesie żadne zarządzenia. Świadectwo to nie może być cofnięte a społeczeństwo współczesne, wbrew pozorom wrażliwe na każdy odłbek światłości, oczekuje takiego świadectwa.

Apostolska praca księży robotników z założenia swego jest wieloletnia, a skuteczność jej — niezliczona. Należy, aby Kościół i księża robotnicy pozabawili swojej pierwotnej misji, znaleźli sposób ponownego świadczenia i wyjawiania tego, co się powinno wiedzieć o ludziach cierpiących dlatego, że ciernie i żłazki walczących dlatego, że trwają w walce, czyli w nadziei. Poznawanie bowiem nieszczęścia tam gdzie ono jest, wykrywanie nadziei tam gdzie się ona znajduje, jest — przede wszystkim — czynnością Kościoła. Księża robotnicy podjęli się tej czynności ku wielkiej korzyści całego Kościoła, pouczając w ten sposób swych przełożonych i wszystkich chrześcijan. Przeczytali się oni w ten sposób do przywrócenia w pewnym stopniu powszechności Kościoła jako ciała, w którym słowo Boże tylko pewnej, ściśle określonej społeczności, części ludzkości. Jest to przede wszystkim świadectwo kapłańskie... Misja Parzyla bowiem nie wynika z planu Hierarchii skazującej nowej metody szerzenia Ewangelii, lecz narodziła się w świadomości kilku księży, z kszędem Godin na czele, którzy pojmowali tę pracę apostolską jako zrealizowanie swego kapłaństwa nie mogącego się dawać rozwinąć w pełni wódecie spełnienia tradycji i obowiązków. Nawet popelnione błędy wskazują na to świadectwo kapłańskie: rozterka tych księży między solidarnością robotniczą a wiennością Kościoła to nie jest niczym innym jak wyjątkowym momentem w ich życiu, w którym odwiecznej rozterki Kościoła między obecną a jego wspólnotnością a jego

W dalszym ciągu swego artykułu autor dopatrzył się ściślego związku między odwołaniem księży robotników a ostrymi zarządzeniami godzącymi w zakon dominikański. Przepuszczając mimo uszu fakt, że Kościół, który w rzeczywistości ofensywny zwrócił przed wszystkim przeciwko temu co poczawszy od Hiszpanii do Argentyny i od Montrealu do Filadelfii nazywane jest „innowacjami francuskimi” a co obejmuje niemal całe życie chrześcijańskie teraźniejszej Francji. Sam fakt istnienia księży robotników stwarzał jakby przeszkodę na drodze ofensywny integralizmu, zniesienie tej przeszkody utrudnia pracę teologom i filozofom pozabawiając ich kontaktów z konkretnymi zagadnieniami stawianymi chrześcijaństwu przez dzisiejszy świat.

„Ostatnio wydane zarządzenia — pisze dalej Albert Béguin — są po prostu skasowaniem misji robotniczej, takiej jak polował ją ksiądz Godin i kardynał Suhard. Nie mówię o niedzielnym nie nadziejami, lub wierze w zamiary kontynuowania misji robotniczych pod inną formą... Nie znaczy to bynajmniej, abym wątpli w szczerą intencję stworzenia „nowego apostołatu” w środowiskach robotniczych. — Stwierdzam tylko, że nieszczęsny bóg stworzył nową formę apostołatu nie nadając jej charakterystycznych cech skasowanej obecnie misji. Zadowolone panujące od sierpnia a wywołane ewentualna możliwością zawieszenia prac misyjnych w ich obecnej formie, samo przez się nie stanowi fakt zamyślenia. Niepokój ten bowiem zamienia się w przerażenie i uczucie zgrozżenia, zarówno wśród ludności chrześcijańskiej jak i wśród wielu osób nie związanych z Kościołem. Wielu robotników, studentów i młodych, walczących się jeszcze z cierniami, staje obec w życiu normalnych parafii, znajdowało w istnieniu księży robotników najpewniejsze utwierdzenie w wierze. Świadczą czy nie, tutaj dopiero rozumieć, iż oni życie Kościoła i dopierali swój własny z nim związany. Usuniecie księży robotników powołało u tych chrześcijan prawdziwe załamanie wewnętrzne, o czym z licznie napływających listów przekonano się mogą biskupi Francji. Jeżeli zaś chodzi o robotników to należy podkreślić, że i oni również ostro zareagowali na ostatnie zarządzenia. I oni również odczuli potrzebę wyrażenia swego niepokoiu przedstawicielom władz kościelnych. Czytałem kilka takich rozpaczyliwych listów. Wyraża się w nich najgłębsze poczucie głębokiego rozczarowania, dającą się ująć w ten sposób: „Mówiono nam zawsze, że Kościół stoi po stronie wrogów naszej sprawy; księża robotnicy nawet, jeśli nie znamy ich, uspokajali nas w tym względzie, dowodząc swą obecnością, że Kościół przeżył swój własny szczyt i poloniam. Jeśli się ich odwołuje to znaczy, że Kościół jest istotnie przeciwko nam”. Rozumowanie uproszczone? To nie ma znaczenia, wyraża ono bowiem uczucia prawdziwe, widać bowiem odczuć przebieg myślowy tych myśli, że Kościół może pozostawić ich samym sobie i być obojętnym na ich cierpienia, ich nadzieje i walkę.”

Notatnik gospodarczy

JEDNA z charakterystycznych różnic występujących między krajami kapitalistycznymi a socjalistycznymi polega na tym, że jeżeli w pierwszych następuje stałe obniżanie poziomu życia ludności, to w drugich, przeciwnie, społeczeństwo osiąga coraz większy dobrobyt. Te zjawiska ekonomiczne są naturalnymi, jedynie możliwymi konsekwencjami wplywającymi z samej istoty obydwu ustrojów. Przypatrzmy się faktom. W Anglii w okresie od 1950 r. do 1952 r. wskaźnik cen hurtowych wzrósł o 25%, we Francji — o 33,8%, a w Niemczech zachodnich o 26%. Równocześnie liczba całkowicie bezrobotnych w krajach Europy Zachodniej zwiększyła się do blisko 3 mil. w 1948 roku do 5 mil. osób w 1953 r. W tym samym czasie w krajach socjalizmu ceny uległy kilkarkrotnej obniżce, co spowodowało w efekcie wzrost realnych płac. W Związku Radzieckim w okresie powojennym dokonano już siedmiu obniżek cen. Obniżki cen nastąpiły również w krajach demokracji ludowej, przy czym problem bezrobocia w tych krajach w ogóle nie istnieje. W Polsce, w okresie zaledwie 5 miesięcy dokonano drugiej już z kolei obniżki cen. Uchwała KC PZPR i Rady Ministrów PRL z dnia 29 kwietnia br., realizując wytyczne II Zjazdu Partii, zapewnia ludności zaoszczędzenie w stosunku rocznym około 6 miliardów złotych. Potwierdza zwłaszcza artykuły pierwszej potrzeby, a więc — przede wszystkim — produkty spożywcze, jak cukier, masło, mleko, mąka oraz takie artykuły przemysłowe, jak tkaniny, obuwie a wreszcie mydło, galanteria itd. Potwierdzenie wielu artykułów jest stosunkowo znaczne, np. ceny niektórych wyrobów przemysłu dziewiarskiego obniżono o 30%. Ważna jest również dalsza obniżka cen maszyn i narzędzi rolniczych. Będzie to bowiem stanowić jeszcze jeden bodziec dla podniesienia produkcji rolniczej.

Obecna obniżka cen, będąca konsekwencją prawidłowego rozwoju naszej gospodarki, ma wieloletnie znaczenie. Przede wszystkim wpływa bezpośrednio na podniesienie stopy życiowej ludności. Ponadto świadczy o całkowitej realności naszych planów i wytycznych gospodarczych. Jest ona wreszcie rezultatem świadomego wysiłku wszystkich ludzi pracy.

Plany nasze są realne. Kilka lat temu postanowiliśmy uprzemysłowić kraj; wybudować nowe fabryki, zwiększyć wydobycie węgla i wytop stali; rozwinąć budownictwo mieszkaniowe itd. Dokonaliśmy tego zgodnie z przewidywaniami. Na IX Plenum a potem na II Zjeździe postanowiono, obok dalszej rozbudowy podstawowych gałęzi przemysłu, zwiększyć produkcję rolniczą oraz produkcję przemysłu lekkiego, aby w ten sposób zapewnić ludności wzrost jej dobrobytu. Plany nasze są realne. Bo to, wniepełna dwa miesiące po II Zjeździe, nastąpiła ponowa obniżka cen.

absolutną transcendencją. Z tego napięcia rodzi się nadzieja, która poczyna się zawsze w ubóstwie...

Tajemnica Ubóstwa jest najważniejszą zagadnieniem naszej Ewangelii. Jakże się to stało, że dzisiaj nie odważamy się o nim mówić bez pewnego skrupowania i bez obawy, aby to chrześcijańskie określenie nie zostało wzięte za wyraz obłudy, lub za obrazę tych, którzy pozostając ubogimi nie chcą się tak nazywać? Paradoxa jest jasnąwy-podobną skłaniającą niektórych współczesnych chrześcijan do solidaryzowania się z ruchem robotniczym jest — miłosierdzie. Tymczasem świat robotniczy odrzuca to miłosierdzie, zdaje się bowiem rozpoznawać w nim podejrzany gest tych, którzy ongiś chętnie glosili „pójście do ludu”, wyrażenie to zaś ma „jakiś odłęk protekcyjnej pobłaźliwości. Robotnicy określają jakiegoś nazwa „ubodzy” nie określają jakiegoś infantylizmu i naturalnego stanu zależności. Dzielniejsi ubodzy, doświadczający uprzednio długiego okresu prawomyslnego paternalizmu, wystrzegają się teraz takich wyrażen. I mają rację. Ze nie zapomnieli różnych oszustw. To nie świat robotniczy odwrócił się od wartości ewangelicznych (wprowadził w życie samorządnie lepiej od nas wszystkich); to myśmy je znieksztalčili i nadal im znaczenie krzywdzące i obelżywe, znajdując dla swego sumienia usprawiedliwienie w najbardziej niepokojących słowach Ewangelii: „Ubodzy będą zawsze wśród was”. Wobec tej postawy chrześcijaństwa bez ducha chrześcijańskiego ubodzy się zbuntowali, dochodzą swych praw do honoru ludzkiego, do pełnej godności, zdecydowali zdobyć je w żartach walce i, ponieważ jest to konieczne, zapewnili sobie władzę polityczną, której obecnie używa się niesparadyltowo... Świat ubogich nie jest już tylko światem ofiar, które należy ratować; on sam zorganizował swoją obronę i ma zamiar sam, o własnych siłach, ponieść mu na to nie chcą pozwolić, wzbici się w górę. Zorganizowanymi, zespolonymi nie ulegą się on, jak śmiał się wyrazić pewien kardynał, o „powodzenie doczesne”, lecz o należne każdemu z nas uznanie jego godności ludzkiej...

Tajemnica Ubóstwa jest też zamknięta na zawsze w tradycyjnym obrazie ofiary; tkwi ona również realna i niemniej głęboka w nadziei ludu, zdającego wybitnego miejsca — miejsca, które po prostu musi się znaleźć — w państwie współczesnym. Lud ten ma być praworządny sam w twarz pełen obrażenia słowa Joanny d'Arc, skierowane do jej sędziów: „Cała światłość nie dochodzi do was”.

Cała światłość nie dochodzi do nas chrześcijan, nie potrafiliśmy bowiem w ciągu wieków nieść światłości, którą powinniśmy byli ukochać nade wszystkich. Księża robotnicy, będąc kapłanami Chrystusa oparli swe zadanie o tajemnicę Ubóstwa. Lecz jako księża współczesnej ludzkości zrozumieli oni, że zadanie ich jest teraz o wiele trudniejsze, ponieważ ubóstwo, które mają posłużyć nie jest już milczącą Panią świętą Franciszka lecz jest to lud pełen woli, który żąda abyśmy wzięli udział w jego walce...

Nikt przed dziesięciu laty nie mógł przewidzieć tego co się stało dzisiaj. Znaczenie próby podjętej przez księży robotników nie jest jeszcze całkowicie jasne, nie tylko dla naszych przyjaciół z zewnątrz, nie tylko dla urzędów w Rzymie lecz także i dla samych misjonarzy. To ich kapłańskie doświadczenie postawilo trwałą ślad wśród ludzi poszukujących nowych form i nowych instytucji przyszłości. Formy te, jak wszystkie formy ludzkie nie doskonałe, na pewno jednak lepsze będą niż nasze rozpadające się lub koczujące społeczeństwa. Powstają one stopniowo, upragnione, przyzwyczajone wymarzone przez niezliczonych ludzi pokładających w nich swą nadzieję. Nie możemy z góry wyznaczyć się na to, aby nie było w nich miejsca na postannictwo chrześcijańskie, na sakramenty i Słowo Boże. Nieznanej jeszcze, wylaniającej się z chaosu cywilizacji potrzebny jest Kościół, który zachowując nienaruszalność nadprzyrodzonego depozytu, zdolny będzie wprowadzić go do życia nowych społeczeństw współczesnych, te zaś przyjmą to niezmiennie postannictwo, naginając je tylko w odpowiedni sposób. Będzie to nie sam wieczny Kościół w nowej postaci, a żąda go już teraz wielka część ludzkości!

Narody Indochin, zwłaszcza zaś Wietnam, nie pogodzili się z ciężką eksploatacją kolonialną Francuzów i prowadzili stale zwycięską walkę w obronie swych praw. Ruch narodo-wo - wyzwolęczy przybrał ogromnie na sile, gdy w 1941 r. kolaboracyjny rząd Petaina w Vichy oddał faktycznie swe posiadłości Indochińskie w ręce militarystów japońskich. Twórcą i kierownikiem partii komunistycznej Indochin, Ho Szi Min, który umiejętnie wykorzystuje wiedzę i doświadczenia nabyte podczas długoletniego pobytu we Francji dla celów walki o wyzwolenie narodo-wo, doprowadził wówczas do powstania Demokratycznego Frontu niepodległościowego pod nazwą Wiet Minu, który stanął na czele ruchu partyzanckiego przeciwko militarnej okupacji japońskiej. W momencie klęski imperialistów japońskich patrioti Wietnamu opanowali już cały kraj (tak zwana rewolucja sierpniowa 1945 r.), lecz rząd francuski, chcąc ratować swe posiadłości kolonialne, porozumiał się z kliką Czang-Kai-Szeka co do okupacji Wietnamu przez wojska kuomintangowskie do czasu, gdy Francja będzie mogła wysłać tam swój korpus ekspedycyjny.

Władze francuskie zdawały sobie sprawę, że nie zdolają utrzymać swych rządów dawnymi metodami administracji kolonialnej, toteż poszły na ugodę z wietnamską burżuazją kompradorską. Jednakże w wyborach powszechnych do Zgromadzenia Narodowego z 6 stycznia 1946 r. blok partii demokratycznych Wiet Minu uzyskał zwycięstwo, zdobywając 230 mandatów na 300 miejsc w Zgromadzeniu Narodowym. W dniu 2 marca 1946 r. został utworzony rząd ludowy pod

przewodnictwem prezydenta Ho Szi Mina. Nie mając jeszcze dostatecznych sił zbrojnych w Indochinach rząd francuski podpisał 6 marca 1946 r. umowę z rządem ludowym, uznając istnienie wolnego i demokratycznego państwa Wietnamu w ramach tzw. Unii Francuskiej z tym, że do 1951 r. wojska francuskie zostaną całkowicie wywakowane z Wietnamu. Był to jednak tylko manewr taktyczny. Kolonialisci francuscy stworzyli jednocześnie separatystyczny, reakcyjny rząd lokalny w Kochinchinie i starali się wykorzystać burżuazyjne elementy Wiet Minu dla obalenia rządu Ho Szi Mina. Po niepowodzeniu przygotowywanego zamachu stanu rząd Bluma rozpoczął zdradziecko ofensywną wojnę kolonialną, zrywając toczące się wtedy w Fontainebleau rokowania o wprowadzenie w życie umowy z 6 marca 1946 roku.

Wykorzystawszy zaskoczenie, wojskom francuskim udało się opanować wszystkie większe miasta, porty i centra komunikacyjne. Na tej podstawie administracja francuska usiłowała narzucić Wietnamowi marionetkowe rządy zdebronizowanego przed rewolucją narodową 1945 r. cesarza Anamu Bao-Daia i restytuowała dawnych feudalnych monarchów Kambodży i Laosu. Rządy te, popierane tylko przez drobną garstkę kolaborującej wielkiej burżuazji miejscowej związanej z kapitałem francuskim, mogą się utrzymać tylko w rejonach okupowanych przez korpus ekspedycyjny. Cały naród ofiarnie popiera rząd ludowy Wietnamu, który kieruje walką zbrojną z okupantem.

Dla zjednoczenia społeczeństwa wietnamskiego w obronie niezawisłości i suwerenności utworzone zostało w końcu 1946 r. Zjednoczenie Narodowe (Lien Viet) grupujące robotników, chłopów, inteligencję pracującą i narodową burżuazję. Na początku 1951 r. połączyło się ono z dawnym blokiem demokratycznym Wiet Minu w „Zjednoczony Front Narodowy” (utrzymać ujęcie Lien Viet), w którym kierowniczą rolę odgrywa Wietnamska Partia Pracujących (Lao Dong) będąca kontynuacją komunistycznej partii Indochin. W dniu 11 marca 1951 r. odbyła się z inicjatywy Lien Vietu konferencja przedstawicieli Wietnamu, Patet Lao i Khmeru, na której Fronty Narodowe tych krajów wyloniły naczelny komitet dla koordynowania wysiłków w walce z kolonialistami francuskimi i interwentami amerykańskimi oraz dla przygotowania przylajnej współpracy i współzycia narodów Indochin.

W Patet Lao i Kmerze toczy się dotychczas głównie wojna partyzancka, chociaż i tam istnieją już całe prowincje wyzwolone od okupacji i administrowane przez miejscowe rządy ludowe Sufonunwong i Son Ngok Mina. Natomiast w wyniku 8-letnich heroicznych zmagania armia ludowa Wietnamu może się poszczycić naprawdę wspaniałymi zwycięstwami. Prawie

cale terytorium północnego i środkowego Wietnamu, za wyjątkiem paru większych miast i portów, zostało już uwolnione od nieprzyjaciela, a w południowym Wietnamie (Kochinchiny) ogromne obszary są już w rękach władzy ludowej. Każdy rok przynosił nowe powiększenie terenów wyzwolonych. Tak np. w ciągu ostatniej zimowej kampanii 1953 — 1954 r. oswobodzono tereny zamieszkałe przez 300 tysięcy mieszkańców.

Równoległe do bojów na frontach toczy się na wyzwolonych terenach walka o gospodarkę i kulturalne wzmocnienie młodego państwa wietnamskiego. Podstawą jej jest uchwalona w końcu 1946 r. przez Zgromadzenie Narodowe pierwsza konstytucja Demokratycznej Republiki Wietnamu, zapewniająca ludności wszelkie demokratyczne prawa i wolności, w tym swobodę wyznań religijnych, równouprawnienie dla mniejszości narodowych, prawo do pracy, odpoczynku i bezpłatnego nauczania, wolność słowa i zebrań, powszechne prawo wyborcze itd. Rząd ludowy powołał lokalne organy ludowej władzy wykonawczej, wprowadził 8-mio godzinny dzień pracy i ubezpieczenia społeczne, a przede wszystkim rozwiązał najbardziej palące zagadnienie, zapoczątkowując reformę rolną.

Wietnam ma ogromne bogactwa naturalne, wykorzystywane dotychczas w minimalnym stopniu przez francuskie władze kolonialne. Istnieją bogate pokłady węgla, rudy żelaznej, cynku, ołowiu i cyny. Można tam wydobywać złoto, wolfram, fosforyty, bauxyty i miedź. Ale Wietnam jest przede wszystkim krajem rolniczym, gdyż 90% ludności stanowią chłopci kulturywający ryż, kauczuk, trzcinę cukrową i kukurydzą. Za czasów rządów francuskich chłopci posiadali tylko 25% ziemi uprawnej, podczas gdy 50 proc. było we władaniu miejscowymi obszarznikami, a 25 proc. — Francuzów. Chłop wietnamski był głównie drobnym dzierżawcą placówk horendalnie wysokie czynsze i uginającym się pod ciężarem długów.

Pierwszym etapem reformy rolnej było umorzenie lichwiarskiego zadłużenia, znaczne obniżenie czynszów dzierżawnych i przekazanie chłopom terenów uprawnych, należących do Francuzów, zdradźców kraju i kolaborantów. Majątki opuszczone przez obszarzników zostały zaskwestrowane do czasu wyjaśnienia stosunku ich właścicieli do władzy ludowej. W ten sposób 420 tysięcy rodzin chłopskich otrzymało na własność 600 tysięcy akrów dobrej ziemi uprawnej. W grudniu 1953 r. Zgromadzenie Narodowe uchwaliło dalszą ustawę o reformie rolnej, przewidującą całkowitą likwidację własności obszarzniczej przez stopniowe jej wykupywanie i przekazywanie chłopom. Rzecz prosta — odszkodowanie otrzymają tylko ci właściciele ziemscy, którzy współpracują z władzą ludową w walce o niepodległość.

Na podstawie przeprowadzanej reformy rolnej toczy się obecnie walka o zwiększenie produkcji rolniczej, niezbędnej dla pokrywania potrzeb kraju i walczącego wojska. Prezydent Ho Szi Min rzucił swego czasu hasło: „Pola ryżowe, to pole bitwy”. Chcąc osłabić władzę ludową, francuskie wojska okupacyjne dokonują przy wycofywaniu się barbarzyńskiego niszczenia kraju, w szczególności systemu irygacyjnego, tam i mostów. W wielu wypadkach chłopci wietnamscy muszą jednocześnie i walczyć w oddziałach partyzanckich i uprawiać zdevastowane pola. Obowiązuje zasada: „Gdy przeciwnik zbliża się, chwytaj za karabin, gdy oddala się — bierz do ręki motykę”.

Poza rolnictwem — specjalną troską rządu ludowego jest przemysł. Przede wszystkim do prowadzenia wojny potrzebna jest broń i amunicja. Początkowo zdobywano jej głównie u przeciwnika. Obecnie powstają liczne już tak zwane fabryki leśne, maskujące się w puszczy przed ponawianym bombardowaniem przez lotnictwo nieprzyjacielskie. Dzięki wyteżonym wysiłkom robotników, armia wietnamska może już dziś pokrywać swe potrzeby, jak to stwierdził publicysta angielski Joseph Starobin w ogłoszonej ostatnio książce „Wiet-Nam Fights for Freedom”.

I na odcinku kulturalnym demokratyczna republika wietnamska ma za sobą poważne osiągnięcia. Za czasów rządów kolonialnych 95 proc. ludności było analfabetami. Obecnie stworzona została sieć 9-ciu letnich szkół powszechnych, uruchomiono szkoły zawodowe i wierzchome kursy techniczne dla robotników. Otwarty już został pierwszy uniwersytet państwowy.

Tak więc zarówno na polach bitew jak i na odcinku gospodarczym i kulturalnym naród wietnamski wykazał swą siłę i przeżność. Łączy go niezłomna wola przeciwstawienia się zaborczym zakusom imperialistów bez względu na to, czy to są Francuzi czy Amerykanie oraz nieugięta decyzja wywalczenia sobie pełnej wolności i niepodległości.

Z. U.

„LEGENDA MAIOR” O ŚW. JADWIDZIE

(Naczelna potrzeba hagiografii polskiej)



Św. Jadwiga wg kodeksu Ostrowskiego

PATRONKA Śląska, żona Henryka Brodatego i matka Henryka Pobożnego, „księżna polska” (duchessa Poloniae), jak głosi napis w kościele S. Maria di gradi w Viterbo, nie posiada w literaturze polskiej godnej monografii. Jeszcze przed wojną w r. 1936 Władysław Podlacha, pisząc uczone rozprawę o miniaturach śląskich, wyraził się: „Zalować należy, że legenda o św. Jadwidzie nie została do dnia dzisiejszego wydana w całości w reprodukcjach fotomechanicznych, pojedynczo bowiem sceny i figury, spotykane w różnych wydawnictwach, nie zastępują pełnego wydania, które przyniosłoby autentyczny materiał historyczny” (Hist. Śląska, Kraków 1936, t. 3 str. 190). Od tego czasu upłynęło znowu lat dwadzieścia, które nie przyniosły nic pozytywnego w tym względzie. Fakt ten uderza tym bardziej, że literatura niemiecka, począwszy od 14 w., posiada na swym koncie liczne i wartościowe pozycje, chociażby tylko z ostatnich lat: Görlicha (1854), Knoblich (1864), Beckera (1872), Jungnitsza (1885), Elzbiety Promnitz (1926) i Metzgera (1927). Dlatego uważam, że w obliczu odżywiającej czci dla świętej Patronki Śląskiej w nowych warunkach Kościoła katolickiego na Śląsku po wojnie, należałoby uprzętnie jej postać naszemu ludowi na bazie solidnego materiału historycznego.

Stworzenie całkowicie zadowolającego dzieła monograficznego o św. Jadwidzie na szerokim tle epoki nie będzie jeszcze dzisiaj tak łatwe. Może nie posiadamy jeszcze dostatecznie jasnego obrazu tego okresu historycznego. Dlatego punktem wyjścia dobrej monografii o św. Jadwidzie powinna stać się stara „legenda maior” o tej świętej, która zdala egzamin czasu i życia. Legenda ta w odpowiednim opracowaniu, wzbogacona obfitym współczesnym materiałem ikonograficznym może spełnić wymagania stawiane nowoczesnej hagiografii.

Tekst łaciński „legenda maior” doczekał się dwóch krytycznych wydań: G. A. Stenzela w 2 t. Scriptores Rerum Silesiacarum, Wrocław 1839 i A. Semkowicza w 4 t. Monumenta Poloniae Historica, Lwów 1884. W dzisiejszej formie legenda składa się z krótkiego wstępu, z 12 rozdziałów właściwego życiorysu, z małego skrótu tego życiorysu czyli z tzw. „legenda minor”, z traktatu genealogicznego oraz z bulli kanonizacyjnej papieża Klemensa IV i kazania tegoż papieża z okazji uroczystej kanonizacji. Ostatnie dwie pozycje nie znajdują się we wszystkich rękopisach. Rękopis-oryginał legendy nie istnieje. Posiadamy go jednak w kilku odpisach, z których najważniejsze są: rękopis katedralny, trzebnicki, henrykowski i lubiąski. Najbardziej wartościowy z nich jest rękopis katedralny z połowy 14 w.

Opisy życia św. Jadwidgi musiano sporządzać dość wcześnie; wynikało to chociażby ze starań o kanonizację świętej. Podobno w bibliotece papieża Klemensa IV, który umarł w 1268 r. znajdował się jakiś żywot św. Jadwidgi. Tak samo dominikanin Szymon, przełożony polskiej prowincji dominikanów i pełnomocnik papieża do spraw procesu kanonizacyjnego, miał pisać o naszej świętej. Również sam autor legendy większej powiada we wstępie, że miał przed sobą opis życia świętej pochodzący od cystersa Engelberta². Zdaje się jednak, że były to tylko częściowe zapiski najważniejszych zdarzeń z życia świętej. Z tych wszystkich żywotów do naszych czasów nic nie pozostało. Zachowała się tylko „legenda maior”. Musiała ona powstać niezbyt długo po śmierci i kanonizacji świętej, gdyż autor mówi we wstępie, że rozmawiał z tymi, którzy brali udział przy zeznaniach w procesie kanonizacyjnym³, a na innym miejscu wspomina kanonika gnieźnieńskiego Racława, który „jest jeszcze żyjącym świadkiem świetlanego czynu św. Jadwidgi”. Toteż rok 1300, który podaje autor legendy jako czas jej napisania, możemy uznać za odpowiadający prawdzie.

Kto jest autorem legendy nie wiemy. Różne przypuszczenia na ten temat nie znalazły naukowego potwierdzenia. Operując się na słowach autora w modlitwie po zakoń-

czeniu legendy: „ego pauper et modicus, collegio pauperum aggregatus”, można z dużym prawdopodobieństwem wnioskować, że był nim ktoś z zakonu św. Franciszka. Franciszkanie, jak wiadomo, zostali sprowadzeni do Wrocławia przez syna św. Jadwidgi Henryka Pobożnego. Może w ten sposób chciał autor spłacić dług wdzięczności wobec rodziny książęcej. Czy autor był Polakiem czy Niemcem, również nie łatwo rozstrzygnąć. Wnioskując z poprawnej pisowni imion i nazw słowiańskich (czego nie spotykamy w późniejszych rękopisach), zdaje się, że raczej był Polakiem.

Szczególne wartości legendy większej leży, zdaje mi się, w jej solidnej podstawie źródłowej i w wybitnym stopniu realizmu krytycznego. Podstawowym źródłem dla autora, jak sam powiada, były akta procesu kanonizacyjnego, przechowywane w klasztorze trzebnickim. Autor czytał je pilnie i dyskutował na ich temat ze znawcami sprawy. Toteż nie przejmując on wszystkiego z akt procesu do swojej legendy, lecz tylko to, co mu się wydaje dobrze uzasadnione. Nie mamy zatem w wypadku naszej legendy do czynienia z produkcją średniowiecznej fantazji, lecz z przedstawieniem faktów i zdarzeń, o których autentyczności i wiarygodności autor starał się zdobyć możliwie solidne dowody.

Nie znaczy to naturalnie, że legenda jest biografią w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Chociaż nie kreśli ona jednostronnie ascetycznego oblicza świętej, owszem mówi czasem wyraźnie o zewnętrznej jej godności i pełni władzy książęcej, to jednak ilościowo materiał nie uwzględnia proporcjonalnie wszystkich dziedzin jej życia i działalności. Ma to jednak swoje uzasadnienie w celu, w jakim autor pisał. Nie było jego zamiarem tworzenie wyczerpującego życiorysu o charakterze historyczno-naukowym, lecz pobożne dzieło o tendencjach moralno-pedagogicznych. Stąd wysunięcie na czoło umarłego

życia świętej, jej praktyki cnót i dzieł ascetycznych. Z tego punktu widzenia osądzi też dzisiejszy czytelnik szczególne formy pobożności świętej i liczne fakty cudów. Jeśli chodzi o nadzwyczajne formy pobożności, to sam autor reprezentuje tu krytyczny punkt widzenia, twierdząc, że „nie wszystko, co u świętych podziwiamy, należy tym samym naśladować w życiu”. Co zaś do cudów, to nie potrzeba koniecznie wszystkim uważać za cuda właściwe, strictly sensu. Sam Kościół św. daje zresztą w bulli kanonizacyjnej Klemensa IV odpowiednie wskazówki po temu. Przede wszystkim bierze bulla pod uwagę tylko cuda po śmierci świętej, a zatem możemy spokojnie przyjąć, że proces kanonizacyjny oddalił, z braku dostatecznych dowodów, cuda, które nasza legenda nowuje za życia i przy śmierci świętej. Sam zresztą papież Klemens IV okazał się wyjątkowo surowy wobec cudów św. Jadwidgi, wyczekując od niej osobistego cudu.

Oprócz tych wartości religijnych, etycznych i pedagogicznych, które i dla wierzącego czytelnika współczesnego mogą się okazać żywe i aktualne, pragnąłbym zwrócić uwagę na wartości historyczne, zawarte w legendzie i to właśnie w licznych relacjach o cudach świętej. Uważam, że ze względu na problematykę współczesną, kwestia jest godna zainteresowania. A więc przede wszystkim bogactwo onomastyczne zarówno osobowe jak i topograficzne legendy. Legenda wiąże bardzo ściśle każde zdarzenie z osobą i miejscem. Wystarczy zacytować choćby parę imion: Witosław, Racława, Więcziława, Bogusław, Mylejsza, Bogusława, Zbylin, Dobromir, Dobrosława, Sulisława. Ten krótki wybór imion wykazuje już olbrzymią przewagę nad imionami romańskimi i germańskimi, a to świadczy chyba coś o etnicznym charakterze ówczesnej ludności Śląska. Z nazw zaś topograficznych, oprócz śląskich, warto przytoczyć choćby: Miśnię, Rudziszyn, Owińskie n, Wartą, Poznań, Kraków, Gniezno, Brzeźno k, Gniezno, Świecie n. Wisła oraz kilka nazw na Pomorzu i w Prusach Wschodnich. Świadczy to o

żywej łączności Śląska ze wszystkimi dzielnicami Polski.

Jezeli już jesteśmy przy stronie filologicznej legendy pragnąłbym zwrócić uwagę na pewien szczegół zawarty w bulli kanonizacyjnej papieża Klemensa IV z 26. marca 1267. W Mon. Pol. Hist. bulla ta niestety nie została dołączona do legendy. Otóż należy zwrócić uwagę na fakt, że papież nie używa określenia „sancta Hedwigis”, lecz „sancta Advigis”, co by oznaczało, że w Kurii rzymskiej panowała chyba słowiańska wymowa imienia świętej „Jadwiga”.

Wreszcie kwestia najważniejsza, jeśli chodzi o wartości historyczne legendy, mianowicie obraz kultury ludowej tego okresu. Legenda jest tak szczegółowa w swoim opisie, że na jej podstawie uzyskujemy bardzo dokładny obraz codziennego życia ówczesnego człowieka. Legenda prowadzi nas bardzo często do chaty wiejskiej, na rynek miasta, do domu mieszczanina lub kupca czy wreszcie do rezydencji rycerza lub księcia. Wszędzie patrzmy na pracę, troski i cierpienia człowieka. Ta właśnie dokładność z jaką legenda opisuje najdrobniejsze szczegóły życia ludzkiego, zyskała jej wiarygodność czytelników. Pod tym też względem żadna inna legenda nie może się z nią równać. Toteż w licznych odpisach krążyła ona po całym Śląsku i Polsce. Znajdujemy ją w kościele i w domach prywatnych, na dworach szlacheckich i w domach mieszczan. Skracano ją i rozszerzano, objaśniano słowami i farbami, a także tłumaczono. Korzystał z tej legendy autor śląskiej Kroniki książąt polskich w drugiej połowie 14 w., znał ją także i zużytkował do swojej Historii Długosza.

Życie świętej Jadwidgi było nie tylko natchnieniem dla pisarzy, ale, i to może jeszcze w większym stopniu dla mistrzów sztuki. Wielki czciciel świętej książę Ludwik I z Brzegu (1311 — 1398) każe w r. 1353 przepisać legendę większą i ozdobić ją 61 wspaniałymi rysunkami piórkowymi z życia świętej. Kodeks ten daruje on w r. 1369 brzeskiej kolegiacie, skąd w 17. w. dostaje się do klasztoru Pijarów w Ostrowie w Czechach. Stąd nazwa: kodeks ostrowski (Schlackenwerther Kodex). Z tego kodeksu wyszła inspiracja dla trzech następnych produkcji sztuki, mianowicie: 1) dla kodeksu

freytagowskiego z klasztoru franciszkanów we Wrocławiu z r. 1451, zawierającego niemiecki przekład legendy i 60 rysunków. 2) dla tryptyku ołtarzowego w kościele bernardynów we Wrocławiu z r. 1430-40, zawierającego 32 sceny z życia św. Jadwidgi. 3) dla druku baumgartenskiego z r. 1504, zawierającego niemiecki przekład legendy i szereg drzeworytów. Materiał ikonograficzny zawarty choćby w tych czterech źródłach jest tak bogaty, że wszelka hagiografia świętej mogłaby z niego obficie korzystać. Stronczyński (Legenda obrazowa o św. Jadwidzie, Kraków 1880) usiłował kiedyś udostępnić postać św. Jadwidgi czytelnikowi polskiemu właśnie przy pomocy powyższych źródeł sztuki, ale od tego czasu upływa blisko 100 lat. Toteż uważam, że solidna monografia św. Jadwidgi, wykorzystująca bogactwa literackie i ikonograficzne, przeszłości, a przeznaczona dla czytelnika 20 w., jest wielką potrzebą współczesnego piśmiennictwa katolickiego.

¹ Klose, Documentierte Geschichte von Breslau, Wrocław 1781 t. 1 str. 402: „Frater Simon, sac. theologiae magister, provincialis Poloniae, de vita et miraculis s. Hedwigis ex processu, quem commissarius agens apostolicum pro eiusdem canonisatione aspicit”.

² Mon. Pol. Hist. t. 4 str. 511: „Praeterea frater Engelbertus, ordinis Cisterciensis, in sua compilatione de hac sancta posuit quaedam notabilia, quae ad idem supradictis”.

³ Por. niżej uw. 6.

⁴ Mon. Pol. Hist. str. 549: „Dominus Razlaus, presbiter et homo maturus, Gneziensis et Wladislawiensis canonici, testis existens operum pietatis iam dictae beatae Hedwigis”.

⁵ L. c. str. 641: „Explicit legenda maior et minor de sancta Hedwigis anno domini millesimo CCC consummata”.

⁶ L. c. str. 511: „... (facta) diligenter examinantes diligentissime conscripserunt et conscripserunt summo representaverunt pontifici, il, qui fuerunt examinatores praedictorum a sede apostolica deputati. Quae scripta in Trebnicensi coenobio reservata, dum studiosius relegissem, cum illis saepeps contuli, qui dicta factaque noverant istius negotii et sic, certa materia habita probatae veritatis, seriem stilo simpliciter prosequens...”

⁷ L. c. str. 575: „Factum hoc potius admirabile quam imitabile recitatur”.

⁸ Script. Rer. Sil. t. 2 str. 119: „Et quidem ipsa est pia memoriae sancta Advigis, cuius per sanguinis derivationem natalium claritas sic refulsi, quod...”

Ave
Maris Stella

Witaj gwiazdo morza

Szczodra Matko Boga

Panno Wiekuista

Szczęsna niebios Bramo

Z ust Gabryjelowych

Witalo Cię Ave

Utwierdź nas w pokoju

Umil Ewy zastęp

Grzeszonym rozwiąż pęta

Światło nieś dla ślepców

Grzechy precz odegnaj

Dobrej proś pociechy

Ześ jest matką okaza

Niech wysłucha Ciebie

Ten, co zszedł na ziemię

Twoim stał się Synem

Panno Osobliwa

Z wszystkich najlaskawsza

Wyrwawszy nas z grzechu

Stwórz cichych i czystych

Żywość daj bezgrzesznej

Bezpieczną wskaż drogę

Byśmy się Jezusem

Radowali wiecznie

Chwała Bogu Ojcu

Pokłon Chrystusowi

Świętemu Duchowi

W Trójcy cześć jedyna

Z hymnów maryjnych

Opracował M. Bieszczadowski

JÓZEF MAJKUT

KTO BY WĄTPIŁ O POLSKOŚCI TYCH ZIEM...

NIE znając krótszego przejścia przez park — spieszyłem do stacji ku miastu głównym traktem okólnie... Tuż za mostem na Bobrze, już w pobliżu Rynku, chwyciłem mnie na drodze nagły deszcz.

W lewo przy jakiejś ciężkiej bryle kościelnej — jakby sztucznie docepione podcienia. Młodsze w stylu od całości co najmniej o pół tysiąca lat, ale suche, zacisne — chronią przed słońcem.

Z wywieszonych tu ogłoszeń o porządku nabożeństw i rysunków treści religijnej nie trudno wyzłazić, iż jest to tętejszy kościół parafialny. Widoczne, nawet dla laika, różnice w budowie poszczególnych części świątyni — znalezione granitem i cegłą — akcentują każdy szczegółem odwieczne pania rei.

Barok cofa się do gotyku, a gotyk zamiast strzelać ku niebu ostrymi iglicami — dźwiga z trudem czworograniastą wieżę, w której ciemniejszą otwory strzelnic... Dopelnieniem tej „obronności” wydaje się być okólna zabudowa zamykająca obszerny dziedziniec, uwieńczony basztą. Długie szeregi otworów na lewo od baszty mogły być kiedyś równie dobrze oknami pomieszczeń klasztornych, jak wieżami. Wiele znaków szczególnych przemawia jednak za tym, że najpierw był tu klasztor. Mówią o tym „dzieje kościoła w Żaganiu” — wywieszone przy wielkich drzwiach, aby kto chce — mógł się z nimi zapoznać. Dzieje te — sięgające początku bieżącego tysiąclecia — data za datą, fakt za faktem spisał skrupulatnie w swoich kronikach klasztornych żagański mnisi.

ICH OSTATNIA GODZINA

WSPÓŁCZESNOŚĆ można kształtować różnie, ale przeszłość jest nieodwracalna. Zatrzeć ją — nie łatwo, zmienić niesposób. Tu widać próbowano tego wielokrotnie.

Wysoki ciemny mur przytykający do baszty — wyraźnie mówi o tym, iż kiedyś wtargnęli tu ludzie przekonani, że od nich rozpoczyna się historia. Część klasztoru przy baszcie zamienili na więzienie, a dalszą część na „Amtsgericht”... Napis ten łatwo jeszcze odczytać.

Ile osób, za jakie przewinienia i według jakich praw osądzono tutaj — tego nigdzie na murach nie zapisano...

Tylko u szczytu „Amtsgerichtu” widnieje jeszcze pogruchotany zegar, który skazańcom zamkniętym w dawnych celach klasztornych odmierzał czas wyjęty z życia.

Aż wreszcie, któregoś dnia — grom uderzył w tarczę zegara — wybiła ostatnia godzina Amtsgerichtu. Wskazówki, przy których trafił granat, przepołowili cyferblat z góry na dół i zamaryli w brzechmu. Wciąż pokazują tylko ten moment, w którym przyszła wielka odmiana — rzec by należało — historyczna godzina sprawiedliwości...

W starym dziedzińcu klasztornym nikt już teraz nikogo nie sądzi. Znowu tu jak przed wiekami... Deszcz płuszcze po murach i basztach, a w kościele pianissimo modlą się organy...

NA PIASTOWSKICH FUNDAMENTACH

ZANIM wejździemy do wnętrza, spojrzmy jeszcze raz na „dzieje kościoła”, aby zapamiętać kilka

dat i faktów. Wynika z nich, iż Żagan, podobnie jak Poznań i wiele innych miast w zachodnich krańcach Rzeczypospolitej — ma prawo w bieżącym stuleciu obchodzić swoje milenium.

Dla ustalenia ścisłej daty należałoby może trochę pogrzebać łopatą w miejscu, jak sama nazwa wskazuje dzisiejszego Starzewa i Pozarowa, gdzie „pierwotnie stał stary Żagan, który po pożarze w roku 1140 został przeniesiony tutaj...”

Trzeba przyznać, że Wielki Książę Krakowski, a zarazem książę Żagania, Bolesław Kędzierzawy, który dokonał tych przenosin miał zarówno poczucie piękna, jak i zmysł strategiczny. Leśna polana na wzgórzu nad Bobrem, w tym miejscu gdzie obecnie kościół i

klasztor — nie pozbawiona była ani naturalnych warunków obronności, ani urozmaicenia krajobrazu...

Odwieczne klony, dęby i lipy strzegące swoim cieniem tego wzgórza — okłaniają przed naszymi oczyma pierwszy „Dom Kamienny”, którego pożar tak łatwo już nie strawi. Jest to rodzaj obronnego zamku na fundamentach z olbrzymich głazów, cały z granitu, tylko wysoka wieża obserwacyjna jest drewniana. Ale tę, w razie zniszczenia, łatwo odbudować. Przebywa tu często sam książę, stale rezydują jego wasale i wojowodowie.

Budując zamek nie zapomniano o wzniesieniu kaplicy zamkowej, która w roku 1183, gdy zbudowano nowy kościół — stała się jego zakrystią.

Decydującą datą historii kościoła jest rok 1284. Ówczesny książę Żagania, Przemko — wnuk Henryka Brodatego i św. Jadwidgi, naśladować swych dziadków, którzy sprowadzili z Francji do Nowogrodu zakon Kanoników Regularnych O.O. Augustianów — sprowadza ten zakon do Żagania.

Ważnym powodem owej decyzji był pożar klasztoru w Nowogrodzie, którego zakonnicy nie byli w stanie odbudować. Książę Przemko aktem fundacyjnym z dnia 7 maja 1284 roku przekazuje im wspaniałomyślnie nie tylko kościół z plebanią, ale cały swój dziedziczny „Dom Kamienny” wraz z pięknym leśnym wzgórzem, a sam schodzi ku rzeczce na bagna i trzęsawiska. Trudno znaleźć o bardziej klasyczny przykład staropolskiej gościnności.

Rozbudowa kościoła i klasztoru zyskały przez to wprawdzie, ale prawdą też jest, że wśród Kanoników Regularnych, a zwłaszcza wśród opatów nie wielu było Polaków i trudno wymagać, aby dbali o polskość Szacunek i wdzięczność tym, którzy jej świadomie nie zacierali...

Kościół i klasztor, jak wynika z dziejów od roku 1284 aż do czasów sekularyzacji zakonu w 1810 r., mimo wielu pożarów i zniszczeń powiększył się wzdłuż wszerz w górę. Przybyły nowe kaplice, nawy, cele, chory. Każda epoka dorzucała coś ze swoich upodobań. Co piąty opat zmienił lub dodawał pewne szczegóły...

Jedno wszak nie ulega wątpliwości: cała ta bez mała tysiącletnia budowa — na piastowskiej stoi ziemi, a fundamenty pod nią kła-

dły te same ręce co i pod Wawel, ręce i wola książąt krakowskich,

RYCERZE I MNISI

„Kościół parafialny w Żaganiu pod wezwaniem Wniebowzięcia N.M.P. należy do najświeższych pod względem historycznym i do najpiękniejszych na Śląsku” — czytamy na wstępie „dziejów”.

O sławie historycznej już oś wiemy. Piękno po przekroczeniu progu wielkich drzwi, podobnie jak na zewnątrz — przyciąga nasze oczy różnorodnością form architektonicznych: barok, renesans, gotyk — rozmieszczone harmonijnie w trzech ogromnych nawach prowadzą nas tu po linii ozdobnych gzymsów, tam wśród wypukłych balkonów i ostrych luków od dnia dzisiejszego aż po okres romański.

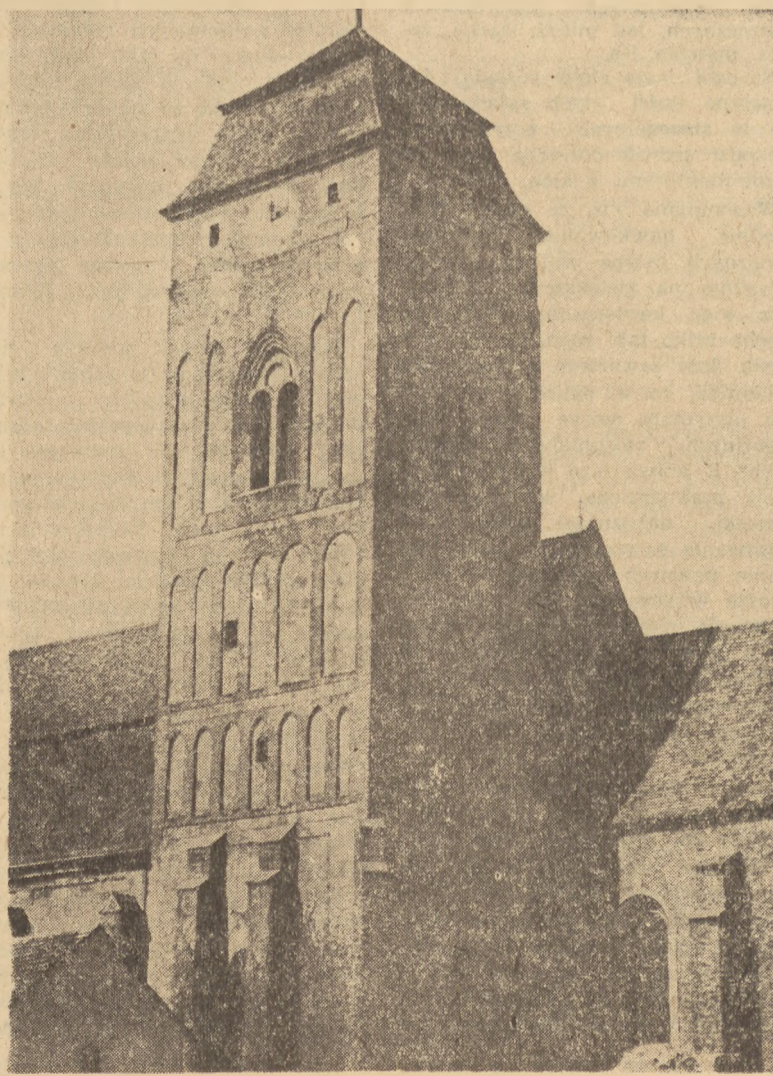
Na dwunastu kolumnach, niby na barkach dwunastu apostołów — wspiera się od wieków ten tum, budowany przez rycerzy „na cześć Bogiem Sławionej Maryji” — zdobiony przez mnichów i żagańskich parafian „Ad decorem et ornamentum ecclesiae”.

Dzień dzisiejszy łatwo tu rozpoznać chociażby po jasnej bieli tynków, które aż w pięć tonacjach objęły wszystkie wolne od rzeźb i malowideł filary, sklepienia, ściany. W połączeniu z dziełami sztuki, na których znać pędzle i dłuta znakomitych mistrzów, niepospolite piękno minionych stylów i epok — wydatnia się tu w całej swej okazałości. Zaklęte w potężne łuki, przywarte do kolorowych płócien, ukryte w kamiennych fałdach szat — piękno tej świątyni zatrzymuje nas u progu, zmusza do refleksji...

Rycerze i mnisi... W cichej modlitwie organów snujących nabożne pienia — slychać czasem coś jakby chrząst zbroi, jakby szcęk mieczów o pancernie... Ilekroć lat już jak tam w prezbiterium, w dębowych stalach zasiadali zakuci w żelazo piastowscy wojowie. — Brodaci, Kędzierzawi, Smiali, Chrobry, a tak gościnni i pobożni... Azali dziś jeszcze natknijemy się tu na ślady ich dziedzictwa?

Powoli gasną światła, cichną organy, wierni opuszczają świątynię. Tylko młody bratisek zakonnny w jednej z bocznych kaplic, gdzie jaśnieje obraz M.B. Czestochowskiej — podlewa chryzantemy... Podcho-

(Dokończenie na str. 5).



Wieża gotycka kościoła w Żaganiu

ZAGADNIENIA GOSPODARCZE A ETYKA CHRZEŚCIJAŃSKA

KATOLICKA koncepcja człowieka, — nasz cel ostateczny umieszcza w porządku nadprzyrodzonym, uznając zbawienie za ultima ratio życia ludzkiego. Ten rodowód człowieka wywodzący go z woli stwórczej Boga i prowadzący przez życie moralne do Boga nie zapoznaje jednak doniosłej roli doczesności w życiu człowieka. Aby w prawidłowy sposób odczytać chrześcijańską koncepcję człowieka należy wziąć pod uwagę dwa istotne elementy. Pierwszy z nich ma charakter niezmienny — to, wiecznie trwające człowieka pragnienie poznania prawdy, to szamotanie się między stanem grzechu a stanem łaski, to na wieczność aktualne włączenie się człowieka w sprawy Boże, w sprawy Kościoła Świętego przez Chrystusa, to augustiańskie, wieczne „niespokojne serce moje dopokąd nie spocznie w Panu”.

Drugi element stanowi stwierdzenie tego, co w koncepcji człowieka jest zmienne i uwarunkowane własnie zmieniającymi się stosunkami doczesności. Dla prawidłowego zatem pojmowania człowieka w pełni, należy uświadomić sobie, iż w nim, jak w niczym innym w naturze, koncentrują się te dwa diametralnie różne elementy: wieczny i niezmienny cel ostateczny człowieka oraz zmieniający się i ewoluujący wciąż od jednych ku innym formom rozwiązań zespół zagadnień doczesności, zespół czynników biologicznych, społecznych i ekonomicznych. Żaden z podniesionych wyżej elementów krzyżujących się w pojęciu „człowiek” brany oddzielnie nie wyczerpuje jego istoty. Z faktu jednakowoż styczności dwóch płaszczyzn życia ludzkiego: doczesnej i pozadoczesnej, należy wyciągnąć prawidłowe konsekwencje. Powinny one wytyczać linię postępowania człowieka, dążącego do zbawienia, to jest posiadania Boga w pozadoczesności przez realizowanie najpełniejszego życia w doczesności.

Dążąc przez życie doczesne do zbawienia, katolik, jako człowiek orientujący się w świecie zasadami swego realistycznego światopoglądu, ma moralny obowiązek przemyslenia tych wszystkich zagadnień, które mu niesie życie społeczne, ma moralny obowiązek analizy doczesności w świetle wyznaczonych przez siebie i społeczność katolicką zasad etycznych. Katolicka koncepcja człowieka będąc koncepcją z gruntu społeczną, stwarza konieczność przemyslenia tych wszystkich treści, które określają konkretną doczesność. Nie ma bardziej sprzecznego z chrześcijaństwem poglądu, jak uchylanie się od tej analizy i w jej konsekwencji od oceny doczesności. Natomiast nie jest zadaniem religii katolickiej i Kościoła Świętego wypracowywanie schematów konkretnych formacji gospodarczych, społecznych czy politycznych. Nie umniejsza to jednak wartości faktu, iż katolicy nie żyją poza ściśle sprecyzowanymi formacjami życia społecznego, a zatem, tkwiąc w nim, nie powinni tego życia społecznego pojmować, jako malum necessarium, lecz wręcz przeciwnie, wnosić w nie twórcze metody działania wynikające z ich światopoglądu.

Filozofia chrześcijańska ucząc człowieka, iż umysł ludzki jest zdolny do poznania prawdy, daje nam sprawną metodę poznania i oceny każdej konkretnej rzeczywistości, w której tkwimy.

Człowiek współczesny, uzbrojony w naukowe metody poznawania rozwoju zarówno życia przyrody, jak i życia społecznego, jest w stanie określić, jaka konkretna formacja społeczno-gospodarcza z aktualnie możliwych jest w danych określonych warunkach pełniejszą metodą realizowania dobra wspólnego wszystkich ludzi pracy.

O ile w zakresie systemu podstawowego naszego światopoglądu, to jest Objawienia, posiadamy pełnię prawdy o drodze człowieka do Boga, o tyle w sprawach doczesnych katolicy nie mają monopolu na tworzenie form życia społecznego, ani też historycznie nie udowodnili, że tworzą najlepsze w tym względzie rozwiązania. Konsekwencją tego poglądu jest uznanie przez katolików tych wszystkich osiągnięć, jakie ludzkość wypracowała.

Wracając do głównie nas interesującego zagadnienia związków ekonomicznych i etyki winniśmy, ustalając prawidłowo zakres tych pojęć, odpowiedzieć sobie na pytanie najpierw metodyczne, które z zestawionych zagadnień kwalifikuje się do oceny drugiego, — a zatem czy ekonomika czy też etyka stanowi

zespół praw z natury kwalifikujący się do normatywnej oceny. I tu z punktu widzenia wyznawanego przez nas światopoglądu katolickiego winniśmy stanowczo określić supremację etyki nad każdym z zestawianych z nią zakresem pojęć. Cała zatem doczesność, włącznie z działającym człowiekiem, podlega ocenie moralnej. Rozważając więc zestawienie ekonomiki z etyką uznajemy konieczność stosowania niezmiennych norm etyki chrześcijańskiej wobec zmiennych możliwości formacji gospodarczych. Jeśli akcentujemy niezmienną moralność katolickiej i zmienność ekonomiki, nie chcemy przez to deprecjonować tej ostatniej. Nie chcemy też wysuwać sugestii, iż z faktu zmieniających się w dziejach formacji gospodarczych można dedukować przypuszczenie, że żadne z rozwiązań ekonomicznych nie jest dostatecznie precyzyjne i umotywowane, by być o jego aktualnej słuszności i potrzebie przekonany. Z faktu ewoluujących ekonomik nie powinno się dochodzić do uznania indyferentyzmu ekonomicznego. Uznajemy w drodze nieuprzedzonej, rzeczowej analizy naukowe prawa rozwoju życia przyrody i życia społecznego, mimo iż zostały odkryte i rozpoznanie przez obóz o odmiennym światopoglądzie. Motywacją uznania naukowych praw rządzących życiem społecznym i ekonomicznym jest podkreślenie wyżej stanowisko, wyrażające się w przyjęciu każdej prawdy choćby odkrytej przez niekatolików.

W aktualnym zatem przekroju realizowanych w świecie systemów ekonomicznych: socjalistycznego i kapitalistycznego, pełni odpowiednie działalności za podjętą decyzję, wy-

bieramy pierwszy. Wybór nasz uzasadniony jest dokładną analizą moralną konsekwencji społecznych, które są owocem każdego z tych systemów.

*

ANALIZUJĄC z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej aktualną sytuację ekonomiczną kraju niesposób powstrzymać się od wydania afirmującej oceny kierunku naszej przebudowy gospodarczej. Fakt podejmowania tych działań, które m. in. zmierzają do maksymalnego zaspokojenia potrzeb człowieka, nazywamy, i słusznie, realizowaniem jednego z podstawowych praw naturalnych. W oparciu o obiektywną wiedzę społeczną stwierdzamy, iż w rozwoju dziejowym państwowa organizacja socjalistycznego społeczeństwa nie jest w stanie rozwijać się bez zharmonizowania poszczególnych dziedzin swojej gospodarki. Jako zatem jedyną szansę stworzenia godnych warunków życia klasie robotniczej, pracującemu chłopstwu, twórczej inteligencji, władza ludowa od samego początku postawiła na rozwój przemysłu narodowego. Zlikwidowanie naszego zacofania gospodarczego i skutków dewastacyjnej polityki ekonomicznej obcego i rodzimego kapitału Polski sanacyjnej było możliwe jedynie na drodze nacjonalizacji przemysłu i jego potężnego rozwoju.

Wydaje się koniecznym na tym miejscu określenie, w czym katolicy polscy, tak świeccy, jak duchowni widzą moralną motywację autorytetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej we wszystkich sprawach odnoszących się do kon-

kretów naszej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Świadomi zasadniczych różnic światopoglądowych, jesteśmy jednocześnie głęboko przeświadczeni o słuszności realizowanego przez Partię programu społeczno-gospodarczego. To nasze przeświadczenie jest wynikiem analizy, podjętej z chrześcijańskich pozycji a dotyczącej również kierunku przebudowy społeczno-gospodarczej. Postawa akceptacji społeczno-gospodarczego programu, który realizuje Partia jest zatem postawą ideową. Uznaniem autorytetu Partii w sprawach poza światopoglądowych jest tożsamy z uznaniem kierowniczej roli Partii w naszym życiu społeczno-państwowym, jako kierowniczej polskiej klasy robotniczej i współtowarzyski partii robotniczych na świecie w walce o pokój i socjalizm. Należy też na tym miejscu podnieść, że uznaniem kierowniczej roli Partii w zakresie wyżej określonej problematyki podjęte jest z pozycji etyki chrześcijańskiej — tej etyki, która jest etyką prowadzącą nas z jednej strony do osiągnięcia naszego celu ostatecznego, która przeciw z aspekcie doczesnym jest etyką sprawiedliwości społecznej. Nie twierdzimy, iż w niezmiennej moralności katolickiej dedukujemy określoną formację życia społeczno-gospodarczego, bowiem do uznania za jedynie słuszne tych rozwiązań, które w aspekcie spraw społeczno-ekonomicznych reprezentuje Władza Ludowa, Partia, całe społeczeństwo polskie zjednoczone we Froncie Narodowym, dochodzimy w drodze analizy aktualnego przekroju gospodarczego naszego kraju, posługując się przy tym metodą nauk społecznych. Etyka natomiast jest

metodą i miernikiem oceny rozwiązań, które osiągamy w wyniku wyżej wspomnianej analizy. Etyka zatem spełnia nad wyraz ważną funkcję probierczą wszelkiej doczesności, a w niej i ekonomiki. Rozważany z katolickich pozycji światopoglądowych aktualny program społeczno-gospodarczy, którego realizacja wyrugowała już z naszego życia ekonomicznego kapitalistyczne prawo wyższku, jest programem z gruntu moralnym. Trzeba jednak w całej pełni zdać sobie sprawę, iż akceptacja z pozycji światopoglądu katolickiego tych treści społeczno-ekonomicznych, które z całą precyzją określa i wspólnie ze społeczeństwem, a zatem ludźmi partyjnymi i bezpartyjnymi, wierzącymi i niewierzącymi, realizuje Partia i Rząd P.R.L. — obowiązuje nas katolików nie tylko z punktu widzenia obywatelskiego, ale też z racji motywacji etycznych. Przyjęcie etycznego punktu widzenia na dyktowane zagadnienia gospodarcze, obowiązuje zatem podwójnie, w skali motywów ekonomicznych, a ponadto etycznych.

*

ORGANIZACYJNA forma działania katolickiego ruchu społecznego postępowego w Wojewódzkich Komisjach Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym będąc wyrazem uznania ważkiej funkcji społecznej, jaką wypełnia nasz ruch, nadaje mu autorytet społeczny. Jeśli sam ruch społecznie postępowy w katolicyzmie polskim wypracował szereg przemyśleń intelektualnych, jeśli zajął akceptującą kierunek

naszej przebudowy społeczno-gospodarczej pozycję — to autorytet społeczny, jakim go obdarzono i który wypracował, autorytet Komisji Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym, zobowiązuje do wyciągnięcia praktycznych konsekwencji społecznie uchwytnych z niezmiennych zasad etyki chrześcijańskiej.

Kaplanowi katolickiemu przypadła w tej mierze szczególnie odpowiedzialny obowiązek, by pełniąc w pierwszym rzędzie swoją pracę duszpasterską, przybliżając wierzącym Boga, zwracał też ich uwagę na moralny aspekt i konsekwencje ich tkwienia w doczesności. I tak, kapłan katolicki, głosząc prawdy niezmiennej moralności chrześcijańskiej, będzie służył społeczeństwu podnosząc wartości moralne wszelkiej pracy, np. aktualnej na wsi pomocy sąsiedzkiej, wzbudzając szacunek wobec owoców tej pracy, dobra narodowego, a z drugiej strony piętnując właśnie z punktu widzenia etyki katolickiej niewłaściwy stosunek do wykonywanej pracy. Będzie służył sprawie Bożej i ludzkiej akcentując, iż jest moralnie grzechem, a społecznie szkodą, każdy objaw lenistwa, niesumienności w pracy, marnotrawstwa, piątnictwa, kłusownictwa gospodarczego, kradzieży mienia społecznego.

Pouczanie wiernych, szczególnie na wsi, o głębokich moralnych wartościach pracy zespołowej nie będzie sprzeczne z misją kapłańską, natomiast stanie się pomocą w dokonującej się przebudowie społeczno-gospodarczej kraju, pomocą w realizacji dobra wspólnego wszystkich ludzi pracy,

RYSZARD GOGOLA

CHEMIA W SŁUŻBIE ROLNICTWA

JEDNA z przyczyn wpływających hamująco na wielkość uzyskiwanych plonów jest — w wielu przypadkach — niedostatek i niewłaściwe nawożenie gleby. Rolnicy nie zawsze potrafią wykorzystać osiągnięcia i doświadczenia rolniczych instytutów naukowych. Nie zawsze też instytuty te, a częściej władze terenowe, dokonują odpowiedniego instruktażu w omawianym zakresie. Nie mniejsze jednak zadanie, jeśli chodzi o zwiększenie wydajności gleby, ma do spełnienia nasz przemysł chemiczny, produkujący m. in. nawozy sztuczne, w znacznym stopniu wpływające na wzrost urodzajów.

Zajmijmy się więc w tym krótkim szkicu zagadnieniem chemii w służbie rolnictwa. W dotychczasowej technice gospodarowania na roli — pamiętać należy o przeważającej jeszcze indywidualnej strukturze naszego rolnictwa — podstawą nawożenia były tzw. nawozy gospodarskie, a więc — przede wszystkim — obornik, który powoduje utrzymanie żyzności gleby przez dostarczanie jej takich składników pokarmowych jak azot, fosfor i potas. Obornik — zawierający poza tym próchnicę — w znacznym stopniu przyczynia się do utrzymania wilgotności gleby cennej dla życia roślin oraz spulchnia ją, co powoduje łatwiejszą uprawę.

Duże znaczenie mają również inne nawozy gospodarskie, jak np. kompost czy tzw. nawozy zielone, a więc rośliny motylkowe. Ale jedynie w oparciu o nawozy gospodarskie nie można stale uzyskiwać wysokich plonów, powstają bowiem nieuniknione straty w składnikach pokarmowych przez wypłukiwanie ich w głąb ziemi, gdzie korzenie roślin już nie sięgają. Również pewne straty (np. w azocie czy potasie) powstają przy przechowywaniu nawozów gospodarskich przeważnie na otwartej przestrzeni. Dlatego też, nawożąc ziemię samymi tylko nawozami gospodarskimi, można łatwo naruszyć równowagę żyzności gleby. Wynikiem tego byłoby wyjałowienie gleby i niskie plony. Co jest w sprzeczności z założeniami naszej gospodarki rolnej.

I tu zaczyna się rola nawozów sztucznych, tworzących chemicznych ujemności człowieka, dzięki którym można bardzo poważnie zwiększyć plony przez dostateczne wprowadzenie do gleb potrzebnych dla wzrostu roślin składników.

Zasadnicza różnica między nawozami gospodarskimi a sztucznymi polega na ilości zawartych składników. Kiedy pierwsze zawierają wszystkie trzy wymienione najważniejsze składniki pokarmowe dla roślin, o tyle drugie z nich zawierają zasadniczo jeden tylko składnik.

Pozornie wygląda to na wyższość nawozów gospodarskich nad sztucznymi. Ale tylko pozornie, bowiem ta jedność składnika stanowi właśnie ich zaletę, gdyż dzięki temu można je stosować odpowiednio do wymagań gleb i roślin.

Poza tym składniki pokarmowe zawarte w nawozach gospodarskich działają znacznie wolniej niż w sztucznych, szczególnie jeśli chodzi o azot. To też nawozy sztuczne azotowe, zwłaszcza takie jak saletrzak czy saletra, mają szczególne znaczenie tam, gdzie chodzi o szybkie i doradne zasilanie roślin, np. wiosną na przerzedzonych przez ostrą zimę oziminach.

Zaznaczyć należy, że glebom naszym brakuje zwłaszcza azotu. Gleb zasobnych w fosfor mamy niewiele. Natomiast jeśli chodzi o rośliny uprawne, to ich wymagania pokarmowe są bardzo różnorodne. Omawiając potrzeby nawozowe gleb i roślin uprawnych wspomnieć należy, iż przy dostatecznej ilości azotu, rośliny rosną bujnie, mając kolor soczysto-zielony. Fosfor potrzebny jest roślinom przede wszystkim do „wykształcenia” ziarna oraz uodpornienia je przeciw różnym chorobom. Potas natomiast niezbędny jest wszystkim roślinom wytwarzającym skrobię i cukier.

Ale kiedy zewnętrzny wygląd roślin wystarczy dla fachowca by określić ilość azotu w glebie, o tyle określenie ilości fosforu czy potasu w ziemi może dać dopiero dokonana analiza chemiczna. Jak wykazała stale postępująca nauka chemii rolnej, wymienione składniki nie zaspokajają jednak pełnego zapotrzebowania i wymagań pokarmowych naszych roślin uprawnych. Nauka ta odkrywa coraz to nowe tajemnice. Na przykład nauka agrochemii wykazała, że w skład roślin wchodzi jeszcze wiele innych pierwiastków chemicznych, jak miedź, siarka, żelazo, mangan itp.

Na ogół nasze gleby posiadają dostateczne ilości tych składników, ale w szczególnych przypadkach zachodzi jednak potrzeba zasilania ziemi niektórymi z nich.

Wspomniałem już, że przez odpowiednie dawki nawozów sztucznych można wpłynąć bardzo poważnie na zwiększenie plonów. Tak więc, każdorazowo osiągnąć można tylko taki plon, na jaki pozwala ilość zawartego w nawozach składnika, co w nauce o nawożeniu otrzymało nazwę „prawa harmonijnych stosunków fizjologicznych”. Z prawa tego wypływają dla życia praktycznego konsekwentne wnioski, nakazujące ekonomiczne stosowanie nawozów oraz niestosowanie pewnych nawozów w nadmiarze w stosunku do drugich, co eliminuje niebezpieczeństwo narażenia poszczególnych roślin na niepotrzebne wydatki, a w niektórych wypadkach nawet niebezpieczeństwo bezpośredniej szkody w rolnictwie.

Dużym wysiłkiem całego narodu odbudowuje się nasz kraj. Odbudowuje się zniszczonej działalnością wojennymi przemysł i buduje nowe, nowoczesne fabryki chemiczne które m. in. mają zaspokoić wzrastające wciąż zapotrzebowanie rolnictwa na nawozy sztuczne.

Krajowa produkcja nawozów osiągnęła w roku 1955 około 120

tysięcy ton 18-procentowych nawozów fosforowych granulowanych, których działanie jest bardziej skuteczne, wzrost wartości nawozów azotowych wyniesie ponad 50 proc. w stosunku do 1953 roku”. Zostało to osiągnięte — a częściowo już zostało — przede wszystkim — dzięki uruchomieniu Zakładów Przemysłu Azotowego w Kędzierzynie, jednych z największych w Europie. Poważną rolę w zwiększeniu produkcji nawozów azotowych powinna odegrać przeprowadzona rozbudowa Zakładów im. F. Dzierżyńskiego w Tarnowie oraz Zakładów im. P. Findera w Chorzowie.

Ponadto konieczną wydaje się ścisła współpraca nauki chemii rolnej z przemysłem chemicznym — nawozowym, co da pełną gwarancję, że rolnictwo otrzyma nawozy we właściwych ilościach i w przystosowaniu do potrzeb naszych gleb i roślin.

Powszechne stosowanie nawozów sztucznych, zmieni całkowicie dotychczasowy sposób pracy rolników, gospodarujących zarówno indywidualnie jak zespołowo. Dzięki intensywnemu nawożeniu, plony nie będą podlegały tak silnym wahaniom; będą one, przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, nieustannie wzrastać,

*

DAŻĄC do zwiększenia plonów, przez odpowiednie stosowanie nawozów sztucznych, napytko się również na poważne niebezpieczeństwo niszczenia ich przez różne szkodniki roślinne czy zwierzęce. Grozi to olbrzymimi stratami. Dlatego w najnowszych metodach gospodarowania na roli, obok umięjętego nawożenia gleby, prowadzi się ostrą walkę ze szkodnikami przy pomocy stale ulepszanych metod. Do nich zaliczyć należy zarówno tzw. stosowanie przynęt, jak i bejcowanie ziarna przed wysiewem czy wreszcie rozpylanie (np. z samolotu) środków trujących na terenach zaatakowanych przez szkodniki.

Niemniej jednak problem niszczenia szkodników w rolnictwie jest ciągle jeszcze otwarty, albowiem mimo znacznego ulepszenia techniki i wprowadzania coraz to lepszych chemicznych środków walki, rolnictwo na całym świecie ponosi stale duże straty. Świadczy o tym raport Komisji Żywnościowej przy ONZ z 1948 roku, w którym podano, że straty ogólnoswiatowe w produktach żywnościowych, spowodowane przez szkodniki, wynoszą rocznie około 33 miliony ton, co równa się ilości, jaką można by wykarmić 100 milionów ludzi w ciągu jednego roku. Problem zwalczania szkodników w rolnictwie jest również stary jak problem nawożenia gleby. Już w starożytnej Grecji i Rzymie poddawano dezynfekcji winnice za pomocą gazu o trzymywanego ze spalania siarki. Ten sposób zwalczania szkodników winnic przetrwał jeszcze średniowiecze i stosowany był w wielu krajach Europy, Afryki i Azji.



Opylanie pól z samolotu

W drugiej połowie XIX wieku następuje rozwój produkcji środków zwalczania szkodników. Obecnie zaś rolnictwo dysponuje bardzo szerokim asortymentem różnych preparatów chemicznych. Zanim jednak opracowano skuteczne metody zwalczania szkodników, należało najpierw poznać ich ustrój i sposób vegetacji, by móc dopiero dobrać takie środki, które zabijają szkodniki, nie niszczą przy tym chronionej rośliny.

Oblicza się, że trucizny chemiczne ochraniają około 10 proc. plonów w gospodarce warzywniczej i 30 — 40 proc. w sadownictwie. Można więc powiedzieć, że oszczędności wynikające ze stosowania środków chemicznych dla utrzymania wysokich plonów w rolnictwie sięgają miliardów złotych rocznie.

Polska za wzorem innych krajów nie zaniedbuje produkcji środków zwalczania szkodników obniżających wartość i ilość otrzymanych z pól plonów. Fabryki polskie wytwarzają spore ilości tych środków w celu pełnego zaspokojenia zapotrzebowania naszego rolnictwa. Do produkowanych w kraju środków należy m. in. azotoks (polski DDT), azolina zwana cieczą warszawską i arsenian wapnia, stosowany szczególnie szeroko do zwalczania chrabaszcza kolorado inaczej zwanego stonka ziemniaczana.

Obecnie krajowa produkcja znacznie przewyższa przedwojenną. Mimo to wiele środków do zwalczania szkodników jest jeszcze ciągle wytwarzanych w niedostatecznych ilościach, co, ze względu na znaczenie jakie przedstawiają one w rolnictwie, zmusza nas do uzupełnienia ich przez import z zagranicy.

Jednakże do końca Planu 6-letniego przewidziano znaczną rozbudowę fabryk produkcyjnych m. in. środki do walki ze szkodnikami, przy równoczesnym zwiększeniu asortymentu preparatów.

*

WOBECE pozytywnych osiągnięć nauki i techniki krajów obozu pokoju zmierzających do zupełnego podporządkowania przyrody i uczynienia z niej narzędzia służącego ludności, głoszenie przez kółka reakcyjne ponurego „prawa” spadającej wydajności gleby i niemożliwości wyżywienia stale rosnącej liczby mieszkańców kuli ziemskiej, wydaje się być co najmniej karygodnym przestępstwem, zasługującym na potępienie.

Wbrew głoszonym na Zachodzie teoriom malthuzjańskim wiemy, że dla wszystkich ludzi na świecie starczy żywności właśnie dzięki szerszemu stosowaniu w rolnictwie nowoczesnych maszyn i urządzeń, nowych metod upraw a również i środków chemicznych.

ROZMAITOŚĆ wypowiedzi na temat poezji i rozmaitość sposobów wyjaśnienia jej charakteru i istoty jest wyrazem rozmaitości pojmowania poezji, a faktu tego źródła szukać trzeba w subiektywizmie doznań estetycznych. Jest rzeczą oczywistą, że każdy człowiek przeżywa inaczej utwór literacki; jeden i ten sam utwór w każdym człowieku wywołuje inne wrażenia, budzi inne nastroje, budzi inną reakcję estetyczną nie mówiąc już o odmienności postawy etycznej. I nie ulega także wątpliwości, że ten sam utwór wywołuje rozmaite doznania w różnych momentach życia jednego i tego samego człowieka. W związku z tym faktem nasuwa się zagadnienie: w jakim stopniu rozstrzyga o tych doznaniach zawartość intelektualna utworu poetyckiego, a w jakim stopniu — jego zawartość emocjonalno-imaginatywna.

Otóż ideologia utworu w żadnym wypadku nie może dać wrażeń estetycznych, nie może zbudzić uczucia piękna, nie może oddziaływać na nasze poczucie artysty utworu. Ideologia utworu, jego zawartość słowna, jego treść filozoficzna, światopoglądowa przemawia do naszych władz intelektualnych, ale także może wywołać w nas pewne przeżycia uczuciowe, a to a) uczucie przyjemności towarzyszącej aktowi intelektualnego uświadamiania sobie owej ideologicznej zawartości utworu, b) przeżycia natury moralnej pozytywne lub negatywne w zależności od tego, czy ideologia utworu jest potwierdzeniem czy też zaprzeczeniem naszych przekonań etycznych. Są to przeżycia pozaeestetyczne, ale są one niezmiernie ważne, nieraz wręcz decydujące dla naszego stosunku do utworu, tzn. mogą one wpływać na siłę artystycznego oddziaływania utworu na czytelnika lub nawet — w krańcowych wypadkach — zgłębiać ją niwelować.

Próba zatem intelektualnego uświadamienia sobie naszych doznań wywołanych przez jakiś poszczególny utwór poetycki jest próbą określenia dwóch zupełnie różnych sfer naszych doznań, których bodźcem stanowią dwoisty charakter utworu poetyckiego. Jedną z nich to sfera przeżyć pochodzących z intelektualnego opanowania zawartości słownej utworu, tzn. akt poznania go, akt rozumienia go, ale także pochodzące stąd zadowolenie, przyjemność, satysfakcja oraz pewne poruszenia natury moralnej. Druga sfera to sfera wrażeń estetycznych wywołanych przez akustyczno-imaginatywną stronę utworu. Skoro więc nie pierwiastek słowny dzieła rozstrzyga o jego artystycznej wartości, ale o sposobie wyrażenia treści ideologicznej (a są to sposoby oddziaływania na uczucie, na wyobraźnię, na zmysły) — w takim razie nasz sąd o doznaniach estetycznych nie obejmuje i nie może objąć sfery poznania intelektualnego, a zatem w konsekwencji nie bierze też pod uwagę strony słownej utworu, jego ideologii, jego poglądu na świat — ale ogranicza się wyłącznie do owej sfery doznań pozaintelektualnych, tzn. do wrażeń estetycznych oraz regulujących je przeżyć natury moralnej.

Oczywiście, jednorazowy sąd o jednym utworze poetyckim nie może być sądem miarodajnym dla określenia istoty poezji, dla stworzenia jej definicji. W jakiej zatem sposób możemy dojść do stworzenia takiej definicji?

Uprzytomnić trzeba sobie zaraz rzecz zasadniczą: że w pierwszym wypadku mamy do czynienia z pewnym konkretem, z danym utworem literackim, w drugim z abstrakcją:

STANISŁAW KOLBUSZEWSKI

ROZWAŻANIA O POEZJI

(Problem definicji i poznania)

poezja. A dalej — w pierwszym wypadku, określając charakter utworu jesteśmy — by tak rzec — zaangażowani subiektywnie, doznajemy bowiem pewnego wstrząsu emocjonalnego, który oddziaływał na nasze poznanie, a wskutek tego i na nasze określenie tego utworu. W drugim wypadku mamy w drodze indukcji z szeregu poszczególnych doznań i stworzonych na ich podstawie sądów wyprowadzić wniosek o poezji, tzn. o czymś, czemu nie odpowiada w świecie rzeczywistości. To są rzeczy rozstrzygające dla charakteru naszej definicji poezji. Ale tu się nasuwa sprawa konieczności apriorycznego określenia, co rozumiemy będziemy przez „utwór poetycki” i które gatunki literackie mamy wziąć pod uwagę dążąc do stworzenia definicji pojęcia „poezja”; nie jest bowiem rzeczą błahą rozstrzygnięcie, czy wszystkie gatunki literackie mają jednakie prawo partycypowania w stworzeniu tej definicji.

Szereg zatem jednorazowych a za każdym razem różniących się między sobą doznań, wywołanych przez poszczególne utwory, służy nam za materiał dla wyprowadzenia wniosków ogólnych, te zaś wnioski stanowią materiał dla oznaczenia, co uważamy za poezję.

Innymi słowy: podstawę dla stworzenia definicji pojęcia „poezja” stanowią wspólne cechy pojedynczych treści psychologicznych wywołanych w nas przez utwory poetyckie. Definicje stworzone na takich podstawach i stworzone przez rozmaite jednostki muszą się różnić między sobą. Decydującym czynnikiem jest tu bowiem odmiennosc psychiczna owych jednostek, odmiennosc percepcji utworów poetyckich i odmiennosc materiału, który służy do urabiania sądu w każdym poszczególnym wypadku,

II.

BODŹCEM dla estetycznych wrażeń jest utwór poetycki. Zdajemy sobie sprawę z tego, że utwór poetycki jest czymś więcej niż ta warstwa zewnętrzna, z którą stykamy się bezpośrednio, że jest czymś więcej niż tzw. forma zewnętrzna tj. niż słowa ujęte w rytmiczne wiersze o pewnym specjalnym, dla każdego utworu indywidualnym, dla każdego syntaktycznym, a także o pewnym układzie graficznym, który to układ oraz zawartość utworu pozwalają go zaliczyć do pewnych gatunków literackich i do pewnych literackich rodzajów. Intelektualna zawartość słów, tzn. ich strona znaczeniowa przemawia do naszego intelektu, a zrozumienie treści jest warunkiem powstania szeregu dalszych przeżyć. Zatem poprzez warstwę słów wnikaemy w utwór. Ta warstwa słów, ich układ logiczny i syntaktyczny jest granicą między czytelnikiem a poetą, a jednocześnie jest podstawowym elementem umożliwiającym między nimi łączność. Stanowi ona łącznik między czytelnikiem a poetą, gdyż interpretacja znaczeniowa słów jest jednakowa u obu stron, jednakowe jest rozumienie ich treści logicznej. Ale ta własna warstwa słów stanowi także czynnik oddalający czytelnika od poety wskutek swego charakteru emocjonalno-imaginatywnego, wskutek tej treści emocjonalnej i treści obrazowej, które łańcuch wyrazów wywołuje u percepującego. Nie jest nowością stwierdzenie faktu, że in-

na jest treść przeżyć poety, który w formie ściśle określonej przez odpowiednią organizację słów zamkniętej treścią, uświadamiając sobie — rzecz oczywista — wpraw ich ogólne kontury, inną zaś będzie treść przeżyć każdego czytelnika tego utworu. Rozmaite tu będą indywidualne doznania uczuciowe, rozmaite, indywidualnie będzie charakter obrazów stworzonych przez wyobraźnię, charakter nastroju poetyckiego, wywołanego wskutek muzyczności utworu itd. A wreszcie i w tym sensie czymś innym jest utwór dla samego poety a czymś innym dla każdego z czytelników, że każdy z nich czego innego tu szuka i co innego znajduje, mimo pewnej wspólnej treści, którą utwór wszystkim im daje.

Uprzytomnienie tych faktów bliżej jeszcze wyjaśnia, dlaczego próby stworzenia definicji poezji są tak rozmaite, a jednocześnie wprowadza nas w obręb dalszych zagadnień.

Utwór literacki jest swoistą interpretacją przeżyć poety i jest jego (sc. poety) swoistą interpretacją świata zewnętrznego. Mówiąc bowiem o sobie w utworze poetyckim, poeta mówi tylko o niektórych swoich treściach psychicznych i o niektórych fragmentach swojego życia, a ten materiał twórcy przetwarza i stylizuje tak, aby powstała z niego nowa treść — artystyczna. Utwór literacki daje w ten sposób artystycznie przestylizowany obraz przeżyć poety.

Tak samo, nawet w wypadku trojski o utrzymanie obiektywizmu w interpretacji świata zewnętrznego, stosunek autora do tego świata jest subiektywny, a stworzony przezeń obraz nie daje odbicia rzeczywistości, ale jej artystyczną parafrazę. Wskutek tego stwarza autor faktycznie nowy obraz rzeczywistości, tzn. stwarza jego nadbudowę, a ta nadbudowa artystyczna rzeczywistości posiada swoje prawa artystycznej logiki. Tak powstaje własny świat poetów — „świat serca i duszy. W tym świecie żyją, kochają i marzą”. To określenie stosunku do świata artystycznej fikcji, sformułowane przez młodego Słowackiego oznacza jednak wyłącznie stosunek poety w okresie przetwarzania na język sztuki własnych marzeń, tęsknot, pomysłów, koncepcji ideologicznych i wszelkich przeżyć. Artystyczna realizacja tych treści stanowi swojego rodzaju „katharsis” od tego, co niepokoi lub zgłębia męczy poetę. Ten atoli świat sztuki jest dlań jednocześnie światem pewnej nowej rzeczywistości.

Poeta wskutek tego, że przetwarza rzeczywistość na nowe zjawisko, na zjawisko artystyczne — i wskutek tego, że musi niektóre elementy odrzucić, inne wyogromnić, inne połączyć z akcesoriami dodatkowymi itd. stwarza metaforę rzeczywistości. Dzieło sztuki literackiej jest metaforą. Obojętne jest tutaj, czy będzie ono realizacją artystyczną własnej treści psychicznej poety, czy będzie przemianą rzeczywistości fizycznej przez dostosowanie jej do warunków nowej rzeczywistości artystycznej, przez nadanie jej formy artystycznej. Każdą bowiem z tych treści, tzn. i przeżycia własne i materiał wzięty z świata ze-

wnętrznego poeta przetwarza w sobie, czyni ją treścią swojego przeżycia artystycznego i dla owego przeżycia szuka formy, tzn. wewnętrznie je jako dzieło sztuki. Jego zatem postawa wobec kształtującego się w jego podświadomości i świadomie przezeń kształtowanego dzieła jest odródkowa.

Gdy jednak po napisaniu swego utworu autor wraca do niego i odczytuje go, a nawet gdy go poprawia, jego postawa wówczas radykalnie się zmienia — przestaje on być wtedy twórcą, a staje się czytelnikiem dzieła, ewentualnie jego krytykiem. W tym wypadku dzieło jest dla niego tym samym, czym jest dla każdego innego czytelnika tzn. jest zjawiskiem istniejącym niezależnie od niego, samodzielnym, własnym swoim życiem.

Postawa czytelnika wobec utworu tym różni się w sposób zasadniczy od postawy twórcy, że czytelnik ma do czynienia z pewnym już gotowym zjawiskiem, które poznaje od strony formy tzn. poprzez znaki graficzne albo poprzez dźwięki, a zatem od strony zewnętrznej przechodzi do ogarnięcia zawartości. Jego postawa wobec dzieła jest odródkowa. Czytelnik — jak wieny — musi najpierw zrozumieć sens słów i całych zdań składających się na utwór. To zrozumienie treści znaczeniowej jest warunkiem nieodzownym dla poznania utworu,

ale nie jest warunkiem najważniejszym dla przeżycia estetycznego. W momencie bowiem intelektualnego opanowania treści utworu, jego logicznej konstrukcji, czytelnik jednocześnie poddaje się innemu jego wartościom i właściwościom, tzn. nie tylko władze poznawczej przyjmują udział w kształtowaniu się w nim nowej treści psychicznej pod wpływem utworu. Cel bowiem główny utworu poetyckiego stanowi wywołanie w czytelniku wstrząsania estetycznego tzn. pewnego nastroju, stanu rozmarzenia, tęsknoty, radości, smutku itd. oraz ściśle z nim złączonych pąwnych wrażeń wizualnych i to nie jakiegokolwiek konkretnego obrazu — bo sztuka słowa nie jest w stanie swoimi środkami przyczynić się do powstawania w nas takich obrazów — ale wizji, mglistych i o nieokreślonych konturach, w istocie swej atoli znacznie bogatszych niż pozwala na to znaczenie poszczególnych wyrazów,

W ten sposób sugestii przychodzi od zewnątrz: utwór narzuca czytelnikowi nowe treści, których w nim nie było, które też nie są przez niego wypracowane, które nie są jego własnością, ale które mu są dane jako pewnego rodzaju „objawienie” i które nieraz w sposób zasadniczy poszerzają zakres jego życia wewnętrznego i pogłębiają je. — Utwór poetycki wprowadza czytelnika w nowy świat, odmienny od świata rzeczywistości fizycznych,

wprowadza go w obręb rzeczywistości artystycznej, o której czytelnik wie, że jest fikcją, ale która może być dlań w chwili artystycznej kontemplacji rzeczywistością faktyczną. Jednocześnie utwór może w nim rozbudzić utajone tęsknoty i marzenia, ale może także zaspokoić już w nim istniejące a przez świat rzeczywistości materialnej niezaspokojone tęsknoty i pragnienia. Dzieje się to wskutek tego, że utwór wywołuje w czytelniku pewien specyficzny nastrój, nastrój poetycki, podobny do tego nastroju, jaki wywołuje muzyka. I to wywołanie nastroju jest głównym zadaniem utworu poetyckiego. W cieniu zaś tego nastroju mogą przemieszczać się w obręb życia psychicznego czytelnika także pewne treści pozaestetyczne, tj. ideologia i treści etyczne.

Wydobycie teraz w analizie elementy składowe są w dziele z sobą złączone w sposób definitywny, składają się na nie i jako zespół organiczny, jako pewna nierozdzielna całość oddziałują na czytelnika — tzn. ideologia utworu, jego wartości wychowawcze, jego postawa społeczna, są nierozdzielnie spójne z elementami artystycznymi utworu. Estetyka marksistowska ma pod tym względem słusznosc, że uważa utwór za „monolit”. Atoli fakt, że utwór poetycki jest utworem poetyckim, przesądza i tu istnienie hierarchii wartości. Rzeczą najważniejszą jest artystyzm, tzn. sposób przedstawiania pewnej treści, wywołanie nastroju, piękno. Innymi słowy — poezja,

KTO BY WĄTPLIŁ O POLSKOŚCI TYCH ZIEM...

(Dokończenie ze str. 3)

dżę i mówię, co mnie interesuje. — O tym to najlepiej mogłoby poinformować ksiądz dziekan — wyjaśnia — tylko wątpię, czy teraz jest. Przyjmuję o dziesiątej...

Było dopiero parę minut po ósmej. W porozumieniu z jakimś księdzem — braciejszczyk zrodził się pokazanie mi najważniejszych zabytków i osobliwości, zaczynając objaśnienia od historii ostatnich lat... Wojna wyrządziła kościelowi duże szkody, rozbity dach powodując zacieki, groził zawaleniem sklepienia. Dzięki jednak staraniom ks. dziekana Superiora Księży Misjonarzy Alojzego Grucl'a, który tu przybył jeszcze w roku 1946 i od razu wziął się do pracy — kościół uratowano.

Dużej mierze jest to zasługą Ministerstwa Kultury i Sztuki, które na pokrycie dachu wyasygnowało wówczas 1.000.000 zł. Z ofiar zebranych od miejscowego społeczeństwa naprawiono organy, sławne chociażby z tego, że grał na nich Liszt.

W roku 1950 kościół został zradiofonizowany, a niedawno całkowicie wewnątrz odnowiony. W jednej z kaplic umieszczono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej...

Mówiąc o tym — braciejszczyk w przejściu z lewej nawy na korytarz klasztorny zwraca uwagę na dwie plakozęby... Pierwsza z nich przedstawia groźnego rycerza w zbroi, wpartego nogą na lwie. Na tarczy orzeł Piastów, a na głowie korona. Po drugiej stronie przejścia pobożna niewiasta z różańcem. Nad nimi u góry wielki herb piastowski. Rycerza charakteryzuje duża broda, kobietę wyraz świątobliwości. Po tych szczegółach nie trudno się domyśleć, iż jest to Henryk

Brodaty, wielki książę krakowski, a zarazem książę Zagania i jego żona św. Jadwiga. Oni to sprawożyli na Śląsk O.O. Augustianów i za to ten pomnik wdzięczności...

Długa galeria malowideł na ścianach korytarza klasztornego to postaci opatów i przeorów. Przy każdym w języku łacińskim krótką charakterystyką jego życia, działalności — imię i data zejścia w podziemia kościoła.

Dwaj śpiący rycerze w kaplicy św. Anny to czasowe szczytki dwu świętych: Chrystiana i Teodata. Czyżby ciekawość sięgnęła w czasie wojny poza imitację zbroi — odsłaniając oczom zwykły ludzki szkielet... Dowód, że święci zanim došli do świątyni, byli tylko ludźmi.

Z kaplicy przechodzimy furką do prezbiterium. Niemniej szlachetne miejsce na wieczny odpoczynek, bo tu przy głównym ołtarzu, obrał sobie jeszcze za życia książę Zagania Henryk IV (1314 — 1342). Sądząc po zbroi i mieczu na sarkofagu, był to rycerz niemałego wzrostu i siły...

Schodzimy w mroczne podziemia. W nawie środkowej spoczywa jeszcze czterech Henryków. Między innymi Henryk VII, Henryk VIII Wróbel, który zginął na turnieju w Legnicy, Jan pierwszy Tyrzan, Jan Żelazny i wielu innych...

Długie szeregi trumien i sarkofagów znanych w historii Śląska książąt piastowskich od założenia kościoła, aż po wiek szesnasty. Dopiero po tym czasie przybyło tu kilka trumien niemieckich.

Dalej całe podziemia nawy podłunowej to miejsce spoczynku kilkudziesięciu opatów klasztoru, tych właśnie, których podobizny widzieliśmy w korytarzu,

Rycerze i mnisi: razem dzwigali te mury — razem śnią w nich sen rycerski i klasztorny.

„Anno ab incarnatione Domini 1217 severissimus ac pientissimus dux Silesiae et Poloniae Henricus dictus barbatus ad preces pissimae suae confugis S. Hedevigis fundavit et enexit in ducatu Saganensis Neo-castrum”.

Czyli mówiąc inaczej w roku Pańskim 1217 pobożny i świątobliwy wódz Polski i Śląska Henryk zwanym Brodatym na propozycję pobożnej małżonki Jadwigi ufundował i wznosił w Zaganiu ten nowy zamek. Na życzenie tejże samej pary założona została, jak dalej o tym mowa — również ta kronika znajdująca się do dziś w bibliotece klasztornej, do której wprowadził mnie proboszcz parafii ks. dziekan Grucl.

Autor kroniki cofa się do roku 1140 — czasów Bolesława Kędzierzawego opisując założenie pierwszego zamku, budowę kościoła, klasztoru, powstanie miasta Zagania — tak jak przetrwało to w pamięci i zapisach do owych czasów. Dalej kronika prowadzona jest już wzorowo, z podziałem na rubryki, podając szczegółowo w każdej z jakiegoś papieża, króla polskiego i polskiego księcia na Zaganiu co się wydarzyło...

Wskazując na najbardziej ciekawe fakty i daty ks. dziekan Alojzy Grucl mówi:

— Ktokolwiek wątpliwy o polskości tych ziem, niech przyjedzie tutaj do Zagania. Dla tych, którzy szukają rzetelnej wiedzy o przeszłości Śląska brama naszej biblioteki stoi otworem,

Józef Majkut



8) Łapczywie przychwylił odgłosy, które doszły go z przyległej sali szpitalnej. Przesuwno widocznie łóżka, wnoszone nowych pacjentów. Gwar pulsował ściszanym podnieceniem.

Kerton poprzez chrapanie, Lenocha przedzierał się ku tętającym szmerom. „To pewnie ci ranni z bombardowania w okolicy Suaniu; uprzytomnił sobie wiadomości przekazywaną szepem przez czarnozębę sanitariusza.

Nagle z przyspieszonego pulsowania głosów za ścianą wyrznął się ostry, bolesny krzyk. Kerton skurczył się jak pod strumieniem zimnej wody. Krzyk wzbrował napięciem do ostatnich granic cierpienia, załamywał się jakimś zwierzęcym skowycem, skomlaniem czy szpazmem. I znów wgrzyzał się w uszy, dygotał, cichł i nabrzmiewał.

Kerton dusił w palcach róg poduszki, wcisnął głowę pod koc. Nie pomagało. Czuł w sobie mękę tego obłędnego wycia. Jakby po odkrytych nerwach wodził ktoś chropowatą rąspłzą. Palce zbiebiały wokół paznokci od kurczowego miętoszenia pościeli. Szarpnął się ku górze niby w ostatecznym buncie przeciwko tamtemu bólowi. W tej samej chwili z westchnieniem ulgi, rozdygotany, mokry od potu opadł znowu na łóżko.

Krzyk opadał powoli ze swej nadmiernej wysokości, wygasł długimi pojękami, wreszcie ściślił zupełnie. Krzątania za ścianą ustala. Pokój znowu nasiał ciszą.

Kerton spojrzął na Lenocha. Widział wlepione w siebie oczy. Nie było już w nich snu, ale nie było w ogóle nic. „Puste oczy” — odnotował mimochodem. „Zupełnie puste”. Chciał się przedrzeć za ich normalny, zawsze trochę zmatowiały błękit, Lenoch

wet nie drgnął. Wytrzymał spojrzenie jak ktoś, kto chce dowieść, że dzierży pole. Dopiero po chwili leniwie przewalili się na wznak, odrzucając z piersi koc, pod którym widocznie było mu gorąco. Flegmatycznie podrapał się po skudłonej żółtej szczęcia piersi. Spód rozhelstanej koszuli srebrnym wężykiem spłynął na bok łańcuszek z kragłym, błyszczącym medalionem.

Kerton poczuł na własnej piersi chłód złotego krzyżyka. Znowu padł na niego okrutny przymus skojarzeń.

Na próżno wycęzał słuch. Żaden szmer zza ściany, żaden głos zza okien, żaden pomruk z sąsiedniego łóżka nie stanął między nim a tym, co ku niemu szło, czego nie chciał, a co musiał przyjąć jak nieodwołalny rozkaz.

Próbował łapać mało ważne szczegóły, wkiłać uwagę w miejscowych drobniaczki. Odwracał usilnie wspomnienie ku przystrojonej odświętnie koreańskiej jodle, na której powieszali własnym przemysłem porobione cacka. Symulował wobec siebie zaciękanie śpiem potraw, które z okazji święta Bożego Narodzenia podawano im w kantine. Namawiał samego siebie na odtworzenie programu zabaw zaaranżowanych z tej okazji przez kierownictwo bazy. Na próżno. Tamto szło ku niemu szczyderzo uśmiechnięte ponure, nieodwracalne, nie dające się oszukać nawiymi wybiegami lekliwej pamięci.

Kardynał w płytkiej piusce na głowie, trzymał ręce wsunięte w szerokie rękawy połyskującej lśniącej czernią satyny...

Obraz był tak wyraźny, że Kerton, przyrzucając oczy i wtulając głowę w poduszeczkę, jeszcze raz spróbował wykryć. Namawiał wspomnienie, by policzył małe, aksamitem obszyte guziki, biegnące pionowym sznurem od fioletowej kokardki do zaobłężonego czarną tasiemką dołu satyny. Jeszcze raz przegrał z samym sobą.

Zza pleców kardynała wychylił się w poważnym skupieniu profil Ridgway'a. Haczył na żołnierzy wyrównanych w galowo przystrojonych czworobok. Poruszał lekko głową jakby chcąc wskazać im na ważność i głębię wypowiedzi Hierarchy.

Spellman mówił wolno, ciepłym uśmiechem wychodząc naprzeciw słuchającym go w należyty szacunku żołnierzy. W pewnej chwili wysunął dłoń z rękawa i gestem swobodnym, nawykłym od takich popawek, przysunął bliżej siebie mikrofon. Nachylił się nawet trochę ku drgającej na sprężynowych uchwytych membran. Głos młodszej falą popłynął nad głowami przedstawicieli wszystkich jednostek amerykańskiej armii w Korei.

„Przybyłem do was, bracia moi, aby w dniu naj-

piękniejszego święta, święta nadziei i radości, przywieść wam słowa otuchy, słowa waszych matek, żon, córek i siostr, a jednocześnie własne słowa błogostawieństwa, słowa modlitw Waszego Pasterza, który się czuje jakby ojcem waszym...”

Kerton z ulgą stwierdził, że pełnej treści przemówienia nie pamięta. Chciał się już odzignąć od reszty, zaczął nawet liczyć słoje na bierwonach drzewnych, które mocnym krzyżakiem podtrzymują dach szpitalnej izby. Ale krzyżak ów nagle zmalał, wysmuklił się i rozłożył.

Kardynałowi podał krzyż jeden ze stojących obok niego księży. Czworobok żołnierzy załamał się i pochylił w przykłęku. Dłoń, ozdobiona wielkim pierścieniem, szerokimi gestami kreśliła znaki błogosławieństwa. Chwila nabrzmiewała ważnością. Ridgway wzruszonym głosem mówił później o historycznym momencie. Z synowską pokorą pochylił się do dłoni z pierścieniem. Podjęły go mocno i serdecznie dostojne ręce. Delikatny, ojcowski pocałunek Kardynała musnął czoło głównodowodzącemu.

Szli potem w dwóch przed szeregiem prezentującymi w honorowym salucie broń. Spellman uśmiechał się zwycięzco i pogodnie, pochyłał nieznacznie głowę w purpurowej piusce, podnosił lekko zgiętą rękę z pół-kardynałskim i pół-żołnierskim podzwieciem.

A potem wsiadł do limuzyny, żegnając się z Ridgwayem już zwykłym, koleżeńskim i nadal uściskiem dłoni. Jeszcze za żółtej franeczki i pochodowego okna wychyliła się jego uśmiechnięta, zarównoważona od chłodu twarz. Dyskretnym, niemal całkiem już przytłumionym kiwnięciem ręki dziękował za ponowne sprezentowanie broni.

Kerton wrócił późniejszym do liczenia wyraźnych po ciemku słojów sosnowych bierwon krzyżujących się na suficie. Płajały mu się w oczach, zlewały w jedną plamę, mylił liczbę. Przerywał. Próbował zaczynać od nowa.

Nie jednak nie zagłuszyło w nim dokuczliwego wstydu. Powiększał go niepokój. Myśli cofały się przed swoimi imionami. Słowa uciekały od swych treści. Opornie, wbrew własnym pragnieniom, sprowadzał je ku sobie, łączył, przywracał imiona.

„Kłamstwo. Jedno wielkie kłamstwo. Straszne oszustwo. Tak nie można. Nie można. To...”

Spojrzał na srebrny łańcuszek Lenocha. Zacisnął w dłoni wysmukli, ostroganiasty kształt, spoczywający mu na piersi zimną grudią złota.

Wstyd obejmował go jak fala dławiącego gorąca.

Rzucił głową, jakby chcąc wytrząsnąć kłujące, złe myśli. W bezradnej ucieczce skłonny już był do najgorszego. Nawet do rozmowy z Lenochem. Zwrócił ku niemu twarz. Zagadał niby po krótkiej tylko przerwie w rozmowie,

— To... medalik? Już wypowiedział pytanie zdał sobie sprawę, że akurat nie to powinien powiedzieć. Cokolwiek, ale nie to. Posłuszny jednak słowu, wskazał na srebrny łańcuszek.

Lenoch niby obojętnie, ale ze skwapliwością człowieka, któremu ciężko milczenie, ujął w dwa palce owalny, wypukły kawalek srebra.

— To? Tak. Medalik. Ale zażenowany nawiązaną sentymentalnością tego stwierdzenia, dodał z pośpiechem:

— I... apteczka jednocześnie. Ucieszył go zdziwienie w oczach Kertona, bo bardziej ożywionym głosem wyjaśnił.

— Tak. Apteczka. Dziwne, ale apteczka. Z takim lekarstwem, które należy użyć wyłącznie wtedy, kiedy jest tak źle, że wszystko dalsze może być tylko najgorszym. Działa skutecznie.

Podniecony pytajnikiem brwi Kertona delektował się swoim tajemniczym dowcipem.

— Radykalnie. Dalsze leczenie całkowicie zbędne. Kerton skrzywił wargi. Widząc jego zniecierpliwienie Lenoch zdecydował się wreszcie na pointe. Otworzył wieczko i przechylił medalion dla lepszego pokazania poblyskującego żelatyną wnętrza.

— Cyankali. Zatrzasnął mikroskopijną skrytkę, ale nie zdążył się nacieszyć reakcją Kertona, bo do izby wszedł oficer w drucianych okularach, w towarzystwie swego lekarza.

Lenoch wodził po nich przerażonym wzrokiem. Kerton kątem oka uchwycił jego rozbiegane spojrzenie, które przez chwilę zatrzymało się na kruszejącym już opatrunku gipsowym. Domyślił się, czego boi się Lenoch. Zwrócił spokojną twarz ku przybyłym.

Lekarz przyjrzał się krzywemu wykresowi temperatury Kertona, powiedział coś powoli do swego towarzysza i pochylił się nad chorym.

WU-CZEN przetarł zapocone okulary w drucianej oprawie. Patrząc na zgięte płeć kierownika szpitala, mrugał ze zdenerwowaniem krótkowidza, który czuje, że twarz bez okularów jest dziwnie bezradna,

KRASZEWSKI był człowiekiem o niezwykłej ruchliwości intelektualnej i pasji poznawczej. Dlatego miał się różnorodnych zajęć i czynności, sięgał po najrozmaitsze tematy i formy wypowiedzi w ciągu przeszło półwiekowej pracy literackiej, żywo reagował na wydarzenia chwili i wypadki w skali wykraczającej poza granice kraju. Wszelkierne, uniwersalistyczne nastawienie wobec świata i ludzi ustrzegło go przed ciasnotą poglądów, pozwoliło przeżywać w dużej mierze niechęć i takie czy inne uprzedzenia. Toteż Kraszewski nie zapadł negatywnej postawy wobec całej literatury rosyjskiej i potrafił zdobyć się na właściwą jej ocenę. Zadokumentował to zamieszczaniem przykładów dzieł Gogola, Lermontowa i studiów o piśmiennictwie rosyjskim w redagowanym przez siebie „Athenaeum”, szeregiem

własnych wzmianek i uwag poświęconych najwybitniejszym twórcom Rosji XIX wieku (A. Hercen, A. K. Tolstoj i Lew Tolstoj), wreszcie postawą zajęty wobec Turgeniewa. Kraszewski dosyć wcześnie poznał się z pierwszymi utworami Turgeniewa. Musiały go zadowolić, skoro w roku 1859 wysunął postulat przyswojenia polskiemu czytelnikowi m. in. dorobku autora „Rudina”. Pragnął w ten sposób umożliwić mu stały i bliski kontakt z twórczością najbardziej znanego wówczas w Europie przedstawiciela literatury rosyjskiej, spopularyzować i wzbudzić zainteresowanie postacią powieściopisarza. Temu celowi służyły również zamieszczane w różnych latach (1876—1888) krótkie i treściwe omówienia poszczególnych dzieł czy całokształtu twórczości Turgeniewa, rzucające po korespondencjach napomknięcia o młodszym rosyjskim koleźce po piórze, który naprawdę przypadł Kraszewskiemu do serca i zdobył sobie w nim miejsce na trwałe. Nie wątpił, że przynajmniej w części zawarta w Paryżu po roku 1860 znajomość i przyjaźń. Inicjatywa (jak się wolno domyślać) wyszła od naszego prozaika i natrafiła na podatny grunt z drugiej strony. Pośrednik i organizator spotkania — Edward Żeligowski — miał więc ułatwione zadanie i wywiązał się z niego należycie. Oto, jak je charakteryzował Kraszewski po latach: „O oznaczonej godzinie przybyli obaj (Turgeniew i Żeligowski). Czekaliśmy na nich i zasiadłszy o zmroku, przetrwaliśmy za stołem do późna. Turgeniew, chociaż na pozór zimny i niezbyt wiele mówiący był najlepszym z biesiadników. Miał obejście się w istocie nie wielkiego pana, ale najlepszego towarzysza. Znać już w nim było naówczas człowieka, który przeżył wiele, oświadczył trochę i z życia wyniósł smutne jakieś i tęskne, zrezygnowane rozczarowanie. Naczuł po tym wieczorze (...) w ciągu którego mówiliśmy wiele o literaturze i ówczesnych jej prądach — przyniósł mi na pamięć (...) swoją fotografię, którą zachowuję jako drogą pamiątkę.”

miarowi być obecnym na znakomitej uroczystości urządzonej w Krakowie na cześć sławnego ueterana polskiej literatury. Pozostaje mi zatem prosić pana, aby wyraził czcigodnemu Jubilatowi gorące pozdrowienia i życzenia. Z pewnością mogą dodać, że w mojej osobie ogromna liczba rosyjskiej inteligentnej publiczności wita Kraszewskiego: po bratersku ściska mu dłoń. Niechże przyjmie to powitanie i ten uścisk jako rękojmiej zblżenia się pomiędzy dwoma plecionami tak długo rozłączonymi przez historię i wstępującymi wreszcie w nową i płodną erę swobodnego, spokojnego i przyjacielskiego rozwoju. Wobec dobra, jakie zapowiada bliska przyszłość, rosyjski pisarz, uczeń Puszkina w duchu wznosi puchar toaistowy na cześć polskiego poety, współtowarzysza Mickiewicza”²).

Kraszewski już w pierwszej notatce o „Zegarku” wypowiedział swój zasadniczy pogląd na twórczość Turgeniewa, później niejednokrotnie uzupełniany i dopełniany. Wtedy właśnie w najogólniejszych zarysach określił jego metodę twórczą i właściwości pisarstwa. Wyszukał jako czynniki zasadnicze: realizm wynikający z odzwierciedlenia rzeczywistości, z prawdy ukazwanego świata i obrazu życia oraz mistrzowskie opowiadanie rzemiosła artystycznego. Dzięki temu Turgeniew oparł się naciśkowi naturalizmu i nie uległ hasłu kopiowania, fotografowania i jednostronnego ukazywania (w sensie przedstawiania okropności i anomalii) życia. Był on w oczach Kraszewskiego reprezentantem tzw. idealnego realizmu, gdyż „malował z natury, ale światło które rzucał na te postacie swe, czynił je idealnymi”³). Tutaj tkwi jedno ze źródeł ciepłego stosunku do Turgeniewa. Zwrócono na to uwagę w artykule napisanym na wieść o śmierci Kraszewskiego i wytknięto wówczas jego solidarność z założeniami idealnego realizmu, „który podzielał”, wraz z jednoczesnym potępieniem naturalizmu⁴). Kraszewski bowiem był zdecydowanym przeciwnikiem doktryny i praktyki naturalistów, nie godził się na sprzeczanie literatury do roli reje-stratora tzw. brudów świata i widział w tym przekroczenie jej szczytnej misji wychowawczej. Uważał, że dzieła naśladowców Zola nie są w stanie uszlachetniać, podnieść i pozytywnie oddziaływać na człowieka, ponieważ ograniczają się przede wszystkim do kreślenia złych i ciemnych stron jednostki ludzkiej. Dlatego aprobował Turgeniewowski sposób portretowania człowieka, wypływający z miłości do niego i nakazujący zgodne z prawdą, utrzymane we właściwych proporcjach malowanie w zlotów i upadków wprowadzonych do utworu postaci. Podkreślał trafność i celność charakterystyki osób, umiejętność artystycznego przedstawiania rzeczy zwykłych i powszednich, staranne i mistrzowskie opracowanie nawet najdrobniejszych szczegółów. Akcentował, iż Turgeniew przy pomocy prostych środków „potrafił wydobyc tragizm z prozaicznych i

codziennych zjawisk, nadał im rangę poetycką i przykuł uwagę czytelnika. Zresztą kwestiom artyzmu jego twórczości poświęcił najwięcej miejsca i trzeba przyznać, że wypowiedział sporo słusznych i ciekawych spostrzeżeń. Uznał go za jednego z nielicznych pisarzy, którzy rozgłos i sławę zdobyli „przez swój kunszt artysty, oryginalnością i urokiem obrazów, w których rzeczywistość i prawda tak się cudownie zlewają z fantazją i idealizmem”⁵). Turgeniew więc był dla niego „poetą i artystą aż do szpiku kości” i wszystko, „co napisał, nosiło na sobie piętno właściwe, dobitne, indywidualne, nie do naśladowania”⁶).

Poza tym uwypuklał związek działalności i dzieł Turgeniewa z aktualną problematyką życia narodu rosyjskiego. Widział w nim twórcę, który był „przykładem typu narodowego, właściwego, a jednak z całym światem, z całą ludzkością najsilniejszym węzłem połączonego — miłością chrześcijańską”⁷). Wskazywał na jego przywiązanie do ojczystej literatury, kult dla języka swego narodu i umiłowanie tradycji, przyrody własnego kraju. Dlatego we wzmiance o wydaniu korespondencji Turgeniewa napisał: „Niezmiernie umiarkowany i umiejący panować nad sobą, wyrozumiały dla wszystkich, kiedy dotykał literatury ojczystej, zapalał się i gorzał”⁸).

Wydaje się, że wskazane wyżej cechy twórczości Turgeniewa (i osobisty kontakt) uwarunkowały taki a nie inny stosunek Kraszewskiego do rosyjskiego powieściopisarza i nowelisty. Kraszewski — wróg naturalizmu, kosmopolityzmu i wszelkiej łatwizny dostrzegł w nim osobowość bliską sobie pod niejednym względem. Pisarz wywierający sprawiedliwość ustępującemu z widowni dziejowej zmięniaństwu wyczuwał w sobie pewne powinowactwo duchowe, umieli nawzajem zrozumieć się i ocenić. W tym należy szukać wyjaśnienia, dlaczego Turgeniew cieszył się szczególnym uznaniem Kraszewskiego. Na zakończenie warto przytoczyć zdanie charakterystyczne Turgeniewa — człowieka: „Łagodny, dobry, pełen prostoty, naturalny, zamiast się powiększać, czynił się dobrowolnie małym — lecz przyszłość uczyni go olbrzymem”⁹).

¹) J. I. Kraszewski: Kronika zagraniczna..., Tygodnik Ilustrowany, 1883, nr 37.

²) Księga pamiątkowa jubileuszu J. I. Kraszewskiego, Kraków 1880, s. 57/8.

³) J. I. Kraszewski: tamże.

⁴) Zob. Przegląd Tygodniowy, 1887, nr 13.

⁵) J. I. Kraszewski: tamże.

⁶) J. I. Kraszewski: tamże.

⁷) Zob. Biesiada Literacka, 1888, nr 407 (list Kraszewskiego).

⁸) J. I. Kraszewski: Kronika zagraniczna..., Tygodnik Ilustrowany, 1885, nr 116.

⁹) J. I. Kraszewski: Kronika zagraniczna..., Tygodnik Ilustrowany, 1883, nr 37.

PIES

Jest nas dwóch w pokoju: mój pies i ja. Na dworze szaleje okropna burza.

Pies siedzi przede mną i patrzy prosto mi w oczy. Ja również patrzę mu w oczy.

Pies jakby chciał coś mi powiedzieć. Lecz jest niemy, nawet sam siebie nie rozumie, lecz ja go rozumiem.

Wiem, że w tej chwili i w nim i we mnie jest jedno i to samo uczucie, że między nami nie ma żadnej różnicy. Jesteśmy identyczni, — w obu nas tli się i świeci jednakowy ogień.

Nadciął śmierć, obwieje nas chłodnym, szerokim skrzydłem... I koniec!

Kto potem się dowie, jaki mianowicie w każdym z nas tlił się ogień?

Nie! to nie zwierzę i nie człowiek wymieniają między sobą spojrzenia...

To dwie pary jednakowych oczu, utkwionych w siebie nawzajem. I w każdej parze tych oczu — zwierzęcych i ludzkich — jedno i to samo życie tuli się z łękiem do siebie.

Luty 1878

ŻEBRAK

Szedłem ulicą... zatrzymał mnie żebrak, zgrzybiaty starzec. Zaczernione, łzawiące się oczy, posiniąte usta, lachmany, ropnąca rana... O, jak szkaradnie ubóstwo ogryzło tę nieszczęsną istotę!

Wyciągnął do mnie czerwoną, spuchniętą i brudną rękę... Stękał i coś bełkotał, prosząc o jałmużnę.

Zacząłem szukać we wszystkich kieszeniach... Ale ani portmonetki, ani zegarka, ani nawet chusteczki... Niczego ze sobą nie wziąłem.

A żebrak czekał... Wyciągnięta jego ręka beśznie opadała i drżała. Zmieszany i zawstydzony, mocno uściśniętą tę brudną, dygoczącą rękę... „Nie gniewaj się, bracie, ale nic nie mam”.

Żebrak utkwiał we mnie swe zaczernione oczy; posiniąte jego usta uśmiechnęły się, i z kolei on uściśnął moje zimne palce.

— No, cóż, bracie — wybełkotał żebrak — dziękuję ci i za to. Też jest wsparcie, bracie.

Zrozumiałem, że i ja również otrzymałem wsparcie od mego brata.

Luty 1878

„POSŁYSZYSZ SĄD GŁUPCA”

„Posłyszysz sąd głupca”... Ty zawsze mówiłeś prawdę, wielki nasz piewco. I tym razem ją powiedziałeś.

„Sąd głupca i śmiech tłumy”... Któż nie doświadczył jednego i drugiego?

Wszystko to można — i powinno się znosić, a kto jest silniejszy — niech pogardzi!

Lecz są cioty, które boleśnie godzą w samo serce. Człowiek zrobił wszystko, co mógł; pracował wytrwale, z miłością, uczciwie... Ale zane dusze odwracają się od niego, zane twarze czerwienią się z niezadowolonia na dźwięk jego imienia. „Odejdź! Idź precz! — krzyczą do niego zane, młode głosy. Ani ty nam nie jesteś potrzebny, ani twoja praca; ty plugawisz nasze domostwo — ty nas nie znasz i nie rozumiesz... Ty jesteś naszym wrogiem!”

Co wówczas ma począć ten człowiek? Dalej pracować, nie próbować usprawiedliwiać się, a nawet nie czekać na bardziej sprawiedliwą ocenę.

Niegdyś rolnicy przeklinali podróżnika, który przyniósł im kartofel, zastępujący chleb, codzienny posiłek biedaka... Wyrzucił oni z wyciągniętej do nich dłoni cenny dar, wrzucali go w błoto, deptali nogami.

Teraz żywią się nim i nawet nie mają imienia swego dobroczyńcy.

A niech tam! Po co im jego imię? On bez imienia ratuje ich od głodu.

Będziemy dbali tylko o to, by to, co zdobywamy było pożytecznym pokarmem.

Gorzki jest niestuszny wyrzut w ustach ludzi, których kochasz... Ale i to można znieść.

„Możesz mnie nawet bić, bylebyś mnie wysłuchał!” — mówił wódz ateński do wodza spartańskiego.

„Możesz mnie nawet bić, bylebyś był zdrow i syty!” — powinniśmy mówić.

Luty 1878

ZADOWOLONY CZŁOWIEK

W mieście stołecznym biegnie ulicą, podskakując sobie od czasu do czasu, młody jeszcze mężczyzna. Ruchy jego są radosne, żywe; oczy błyszczą, usta się uśmiechają, rozradowana twarz jest przyjemnie zróżnicowana... Całym sobą wyraża zadowolenie i radość.

Co go spotkało? Może spadek otrzymał? Może awans dostał? Może śpieszy na randkę z ukochaną? A może po prostu zjadł dobre i smaczne śniadanie, a że jest zdrow i silny, więc pocucie tego tak go podnieciło? A może udekorowano go, układając mu na szyję, tuój piękny, o osmiu promieniach, order, o, królu polski, Stanisławie?

Nie. On jest autorem oszczerstwa na swego znajomego — rozkolportował je bardzo gorliwie, a teraz posłyszał to oszczerstwo z ust innego znajomego i sam w nie uwierzył.

O, jakże zadowolony, jak nawet jest dobry w tej chwili ten miły i wiele obiecujący młody mężczyzna!

Luty 1878

przełożył Kazimierz Truchanowski

PISMO ŚWIĘTE



NOWEGO TESTAMENTU

przekład Ks. E. Dąbrowskiego
ozdobna oprawa płócienna
ze złoc. zł. 65

Wysła Błogosz Sprzedaży „Pax”
Warszawa, Mokołowska 43. Za
zaliczeniem pocztowym lub po
wpłaceniu należności na konto
PKO W-wa I 8515/114. Przy wpła-
cie na PKO prosimy doliczać zł
3 na koszt przesyłki.
Do nabycia we wszystkich skle-
pach „Veritasu”.

NOWOŚĆ

Zbigniew Kowalski

ORDER ZIELONEJ RÓŻDŻKI

Opowiadania łowieckie i przyrodnicze

Str. 154 zł 9.15

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY
NARODOWEJ

bezbronna niemal. Chuchnął jeszcze raz, szybko przejechał chusteczką po wypukłych jak soczewka szklach i opanowanym już ruchem przywrócił oczom ostrość widzenia.

Patrzył na zarośnięte, blade oblicze jeńca. Widział półprzymknięte powieki, pełne, ładnie wykrojone usta tonące w gęstwie zapuszczonych brody, ocienione wąsami, przyglądzonymi z mimowolną kokieterią. Znowu natrętnie narzuciło mu się przypomnienie innej twarzy, którą widział gdzieś bardzo dawno, jakąś poważniejszą, szlachetniejszą, ale mimo wszystko podobną. Zwłaszcza teraz, gdy z bladej twarzy chorego kontrastowała czerni buntownie puszczonego się zarostu.

Wu-czen od dawna już męczył się tym podobieństwem. Od tamtej chwili, gdy przerażony jeńiec chciał uciekać z pokoju naczelnego lekarza. I właściwie dzisiaj nie musiał tu przychodzić na inspekcję. Niepotrzebny był staremu doktorowi. Gdyby istniała potrzeba doktor mógłby powiedzieć to, co by miał do powiedzenia — na miż. Przyszedł jednak, bo to podobieństwo, którego jeszcze rozemnieć nie umiał, męczyło go chwilami jak wyrazisty sen, zapomniany zaraz po przebudzeniu.

Doktor pochylił się głębiej ku sercu badanego. Odśunał ręką na bok jakąś złotą błyskotkę i z przyrzużonymi oczyma słuchał rytmicznego łomotu. Wyprostowując się, powiedział do Wu-czena:

— Biję normalnie.

A po chwili, patrząc prosto w wypukłe soczewki szkieł, dodał:

— Zapelniał jak u człowieka. Jak u normalnego człowieka.

Wu-czen wiedział, co doktor ma na myśli. Doktor pamiętał tamtą rozmowę, w którą obydwaj włożyli całych siebie.

— Nie wierze! Nie wierze! — krzyczał wtedy Wu-czen. To też ludzie Nazwaliś ich bestiami, bo rozbestwiła ich wojna. Rozbestwieni, ale ludzie. Nie wystarczy ich przepędzić. Nie wystarczy ich zwyciężyć, Trzeba ich zmieniać. Korea jest wszędzie. Korea to świat. Przegnani stąd pójdą gdzieś indziej, będą robili to samo. Nie obejmują wyrazu swę zbrodni. Trzeba im uświadamiać ich podłość. Działa na nich tysiące złych sił. Falszywy ustrój, fałszywe wychowanie, fałszywa wiedza o nas, fałszywa wiedza o samych sobie. Musimy nie tylko wyzwolić od nich Koreę, ale wyzwolić także ich od Korei, od nich samych. Wierzę w to, że są ludźmi, chociaż zaprzeczają temu wszystkim, co robią. Ale to przecież niemożliwe. Ma-

ją swój dom, żony, siostry, kochanki. Mają braci, ojców, synów. Kochają. Trzeba próbować, wiem, to straszne co mówię, ale trzeba próbować przypomnieć im ich miłość, uświadamiać jej ciasnotę, pokazać to, że mordując świat — mordują swoją miłość, że gwałcąc nasze dziewczyny plują w oczy swoim siostram, żonom, kochankom.

Doktor słuchał go wtedy spokojnie. Spokojnie patrzył w jego zapocone, nerwowymi ruchami poprawiane okulary. I mówił spokojnie.

— Słuchaj, Wu-czen, tylko dlatego, że masz kiepski wzrok, że nie trafisz z karabinu nawet z pięciu metrów, nie jesteś na froncie. A tam musiałbyś zabijać, chciałbyś zabijać. Czy robilibyś to z miłości? Czy nie rozumiesz potrzeby nienawiści?

Wzrok doktora był spokojny. Wu-czen pomyślał wtedy jednym mgniemieniem myśli, że jest to wzrok człowieka przeraźliwie smutnego. Odpowiadał pełen szacunku dla tego smutku.

— Doktorze, ja... ja nienawidzę. Dużo widziałem. Mój dom w Phenianie jest tylko popiołem. Pod tym popiołem mój ojciec, matka i brat. I biblioteka. I rękopis niedokończzonego traktatu o poezji Shelleya. Nienawidzę tego wszystkiego co w nich jest... Zużyłam gumę przy rozstrzelaniu ludzi. Śmieją się z nagich, pełnych potwornej sromoty dziewczyn, pędzonych do burdelu. Widziałem. Zresztą... jedne okulary rozbil mi pięścią taki żujący gumę drab. Cud, że nie wyklęły oka. Ale — niech pan pomyśli, doktorze — czy to możliwe, czy to możliwe, żeby tak z człowiekiem miało być już zawsze? Żeby śmierć łączyła się z gumą do żucia? Żeby gwałt był formą barbarzyńskiego dowcipu? Żeby nienawiść nie kazala myśleć o miłości?

Doktor nie podniósł przymkniętych powiek. — Wu-czen nie potrafił wtedy dokładnie nazywać swoich myśli. Pamięta tylko, że doktor nawet nie rozszerzając zważonego powiekami spojrzenia, po bardzo długiej chwili ciszy zaczął mówić z trudem, jakby bał się męczących go ataków duszności.

— Słuchaj, Wu-czen, dużo widziałeś. Chociaż zdaje mi się, że nie zobaczyłeś niczego. Nie będą ci opowiadał o tym, co widziałem ja. Moja żona... Nie, nie będą ci opowiadał. Nie wierze w to, w co wierzysz ty. Zdaje mi się, że jakoś — na opak faktem — ty masz rację. Nie będą ci odbierał twojej wiary, bo nazbyt ci jej zazdrościsz. Rób co możesz, choćbyś nie zrobił nic. Z tym nigdy nie wiadomo jak jest. Każdemu człowiekowi dano serce. Jako lekarz — uśmiecnał się smutno — nie mogę temu zaprzeczyć. Ale pamiętaj o jednym: za wiare się płaci. Pilnuj się, żebyś nie zapłacił za drogę. Całym sobą.

To było bardzo dawno temu. Chyba rok — oblicza w pamięci Wu-czen, patrząc na doktora, który znowu w pochyleniu zgarbił się nad chorym.

Rok, to bezmiar czasu. Nie zamkną go nigdy kra-

teczki przekreślonych w kalendarzu fluś tam dni. Przez ten rok Wu-czen pisał swój list. Wykorzystał swoje humanistyczne studia. List narastał w dwóch językach: angielskim i francuskim. Pisał potworny katalog dokonanych w Korei morderstw. Rejestrował bestialstwa amerykańskich żołnierzy. Wu-czen rozplomieniał w liście wykrykciami. Rozzagwiał się w bolesnych pytańkach. Miał wręczać ten list amerykańskiemu jeńcom. Niech wiedzą. Niech dokonuje się



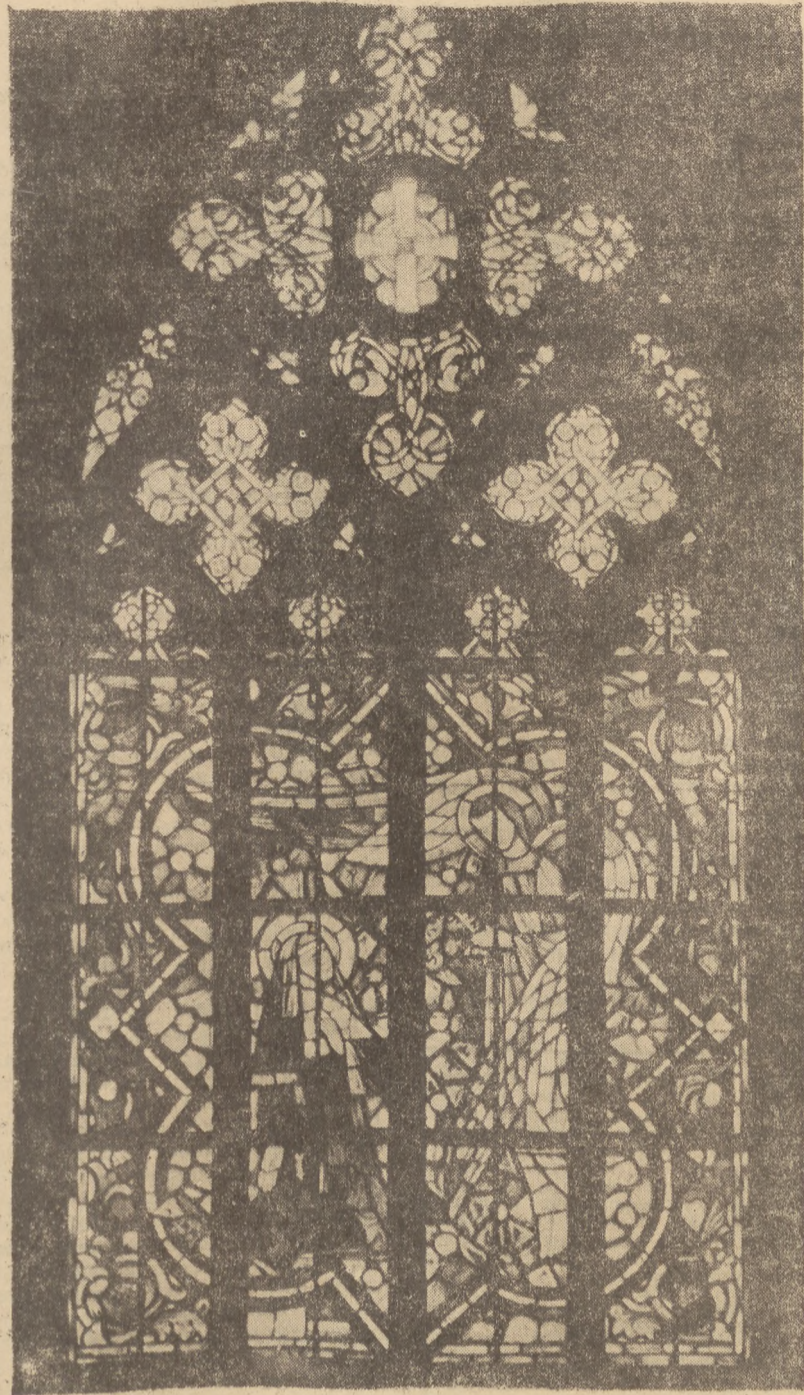
rys. Andrzej Pol.

w nich nowy poród, niech wejście w nich wielki ból przeobrażenia. O tym liście pamiętał tylko stary doktor. Dawał mu materiały, dotyczące nowych zniczołowców. Wu-czen nocami, przecierając omglone okulary, pisał pełen rozszarpanej poezji i dokuczliwego bólu. Czuł jak się w nim rozszarza, jak podchodzi ku sercu i zdrownia palce coraz większy chłód.

Wiedział, że tym listem ratuje przede wszystkim swoją wiare. A jednocześnie lakał potwierdzenia tej wiary z zewnątrz, od drugiego człowieka. I bał się ostatecznego krachu. Nie oszukiwał siebie. Przyznawał się wobec siebie samego, że list przeobraża przede wszystkim autora. Stył w nim żar, malała nadzieja, narastał chłód nienawiści.

(Ciąg dalszy nastąpi)

WITRAŻE KATEDRY WROCŁAWSKIEJ



Sw. Salomea — witraż K. i S. Pękalskich

RESTAUROWANA z wielkim pietyzmem ze zniszczeń wojennych katedra wrocławska otrzymuje obecnie nowy szereg wyposażenia swego przepysznego wnętrza — witraże. Nim powiemy o nich coś więcej należałoby może zastanowić się bodaj pokrótce nad tym, co to jest witraż w sztuce kościelnej, jakie jest jego znaczenie i rola. W danym wypadku jest to tym ważniejsze, iż „witrażowanie” katedry wrocławskiej znajduje się obecnie w stadium początkowym, a więc czas jeszcze zadbać o to, by całości zapowiadającego się świetnie dzieła zapewnić wyraz możliwie najdoskonalszy.

A więc czymże jest witraż w kościele w ogóle, a w danym wypadku konkretnym, we wnętrzu wspaniałej czternastowiecznej katedry gotyckiej? Jest on zapewne czymś od wnętrza tego nieodłącznym: barwną zasłoną oddzielającą dom Boży od przenikającego przez otwory okienne światła zewnętrznego. Światło dnia, szącąc się poprzez barwne szkło, nadaje szczególny kolor wnętrzu, tym samym wzbogaca je szczerze, same zaś okna są jakby klejnotami z drogich kamieni. Jest to jednak emocjonalna

niejako strona sprawy, która ma również swój cel głębszy, wychowawczy: już średniowieczny katechizm diecezjalny w Tréguier na pytanie: co trzeba uczynić, wchodząc do kościoła, odpowiadał: przeźgnąć się wodą święconą, oddać hołd Najświętszemu Sakramentowi, a następnie uważnie obejrzeć witraże, a opat Suger*) w jednym ze swych dzieł poucza: „należy tak czynić, by ludzie prośli, nie znając pisma, wiedzieli w co mają wierzyć”. Pamiętajmy, jest to wiek XII.

Witraż jest jednak sztuką znacznie starszą. Powstał we Francji, jak świadczą tamtejsze zapisy katedralne, już w wieku VI. Skądże się jednak wywodzi, jako sztuka

samoistna i niezależna. Jakież jest jej rodowód i źródło?

Otóż witraż bierze dla siebie wzory z Bizancjum, gdzie za czasów Konstantyna chrześcijaństwo kształtuje mozaikę jako odrębną, monumentalną, a pełną treści gałąź sztuki, zdobiącego przepyszną, powstającą w owym czasie świątynię. Zapewne, okna tych świątyń są początkowo niewielkie, a więc nie są prawie brane pod uwagę, gdy chodzi o wystrój wnętrza. Już jednak w świątyniach rzymskich a potem w gotyckich okna są coraz większe, pamiętamy też, że wnętrza tych świątyń zdobne są w bogate polichromie. Miałyby okna, zajmujące z czasem przestrzeń coraz większą pozostawać „puste”? Nie, barwa, wypełniająca wszystko, wchodzi również i na okna. Daje efekt wielokrotnie większy, niż malatura pokrywająca mury...

Zapewne gama koloru owych czasów jest skromna: to przede wszystkim czerwień i błękit, szkło bezbarwne, nieco później i wciąż jeszcze jakby nieśmiało ukazują się barwy żółta i zielona; inne zjawiają się raczej w okresie sztylkowym tej sztuki.

Powstają wówczas pewne zasady kompozycji: a więc okna górne wypełniać będzie postać monumentalna, lub jedna jakaś scena, okna dolne — całe szeregi tych scen, postacie fundatorów, herby, napisy i godła. Już sceny takie począwszy od wieku XII ujmowane są w medaliony rzucające na bogato zdobione tło, niczym kobierce tkane z kwiatów. W wieku XII wybijać się zaczyna na czoło szkoła „vitraiorów” w Chartres znana już od r. 1090 i pochodząca od niej szkoła w Bourges i w Angers. Rok 1248 jest rokiem przełomowym. Sainte Chapelle w Paryżu otrzymuje 5 wielkich okien — witraży największych, jakie dotąd widziano. Wrażenie jest olbrzymie. Wyspa Świętego Ludwika przejmuje od Chartres przewodnictwo. Czerwień i błękit ożywia innymi barwami. Już w jej ślady idzie szkoła Soissons, wprowadzająca fioleto, le Mans, Angers, Beauvais, Evreux i Rouen...

Ale niebawem malarstwo przeżyje wielki wstrząs: Giotto oderwie człowieka od złotego tła, obraz — już sztalugowy zjedzie ze ścian, w kompozycję wkroczy perspektywa. Pod wpływem malarstwa i witraż stają się „obrazami”. Tym samym jednak przestają być sobą: już nie są samodzielna, monumentalna sztuka wywodząca się z mozaiki. I tym „obrazem sztalugowym przeniesionym na szkło” nie zainteresuje się bliżej wiek Odrodzenia, po-

szukający dla swego wyrazu rozwiązań innych: witraż zamrzewa z gotykiem, jako wystrój od niego nieodłączny...

Dochodzimy do sedna rzeźby. Wspaniała czternastowieczna katedra wrocławska jest pomnikiem sztuki gotyckiej. Na olbrzymiej jej okna o powierzchni łącznej około 500 metrów kwadratowych „wchodzi” witraż. Jakież on jest?

Rzecz jest w stadium realizacji. Już wcześniej nieco, to jest w okresie początkowym odbudowy, wielkie okno nad ołtarzem głównym otrzymało żywy i barwny witraż — dzieło Tadeusza Wojciechowskiego. Witraż ten, całkowicie zharmonizowany z gotyckim wnętrzem katedry, jest bogaty w barwie, może nieco zbyt drobiazgowy, jeśli chodzi o jego „mozaikę”, a przez to na odległość mało „czytelny”, ale w całości stylowy i piękny. Przypomina on poniekąd i swą drobiazgowością, ale i szlachetnością stylu nasze czternastowieczne witraże z kościoła Mariackiego w Krakowie, dzieło z r. 1370 mistrza Mikołaja, kiedy to Kraków ze swymi „vitraitorami” Andrzejem, Stanisławem i Piotrem, Jakubem, Tomaszem i Jerzym, czerpiąc wzory francuskie poprzez Pragę i Luksemburg, był sławnym ośrodkiem sztuki witrażu w Europie.

Ale obok witrażu nad ołtarzem głównym katedra wrocławska ma już i witraże inne. Pomijamy tu dzieło również Tadeusza Wojciechowskiego — witraż zdobiący kaplicę Najświętszego Sakramentu. Jest to boczna, renesansowa kaplica i witraż ten harmonizuje tu z jej stylem.

A inne? Jest ich już w tej chwili przeszło 20, zajmują większość okien dolnych świątyni, są dziełem dwóch różnych zespołów artystycznych i zapewne dlatego różnią się od siebie bardzo znacznie, co nie wpływa dodatnio na całość wystroju wnętrza katedry.

Grupę pierwszą — większość, stanowią tu witraże Krystyny i Stanisława Pękalskich. Grupę drugą — witraże małżonków Acedańskich. Rozpatrzmy je kolejno.

A więc Pękalscy wychodzą z założenia, że skoro katedra wrocławska jest jednym z najwspanialszych w Polsce pomników sztuki gotyckiej, tym samym posiadacz też musi witraże gotyckie i to w najszlachetniejszej ich postaci. Po jakież wzory sięgnęli w swej pracy? Czy oparli się może, idąc po linii „najmniejszego oporu”, na znanych sobie, łatwych dostępnych wzorach witraży kościoła Mariackiego? Nie. Sięgnęli głębiej. Do czystego źródła z wieku XII, z doby szczytowego rozwoju witrażu z całym szlachetnym ich kanonem: hieratyzmu postaci ludzkiej, radosnego realizmu szczegó-

łów, przepychu kontrastów żywych barw o przewadze czerwieni i błękitu, o mocnym, zgodnym całkowicie z epoką, najwymownie, niekiedy wyrazistym aż do karykatury konturze. Dodajmy, że ich święci, gołtycy w formie są najzupełniej polscy, ale tak samo i patron świątyni Święty Jan Chrzczciel, święci: Franciszek, Antoni, czy Jan Nepomucen. W ten sposób witraże gotycko — polskie Pękalskich stanowią niejako nierozłączną całość z niezaprzeczenie gotycko-polskim w swym wyrazie wnętrzem katedry. Są przy tym wszystkie zharmonizowane w kompozycji: przy bogatej odrębności szczegółów stanowią jednolitą całość artystyczną.

Inaczej natomiast rzecz się ma z witrażami małżonków Acedańskich. W swym wyrazie zewnętrznym odlegają znacznie od stylu, od charakteru kościoła. Nie są gotyckie. Nie to jest tu najważniejsze: witraże Wyspiańskiego w gotyckim kościele Franciszkańskim w Krakowie też nie są gotyckie. Dzieło więc Acedańskich, rozpatrywane samo w sobie, w jakimś innym wnętrzu, nie poddawane porównaniu ze stanowiącymi większość witrażami Pękalskich mogłoby nie budzić zastrzeżeń. Tu, w katedrze wrocławskiej raz. W zestawieniu z witrażami Wojciechowskiego i Pękalskich barwy witraży Acedańskich są szare, mętne, poniekąd brudne. Przy tym nie są to już owe gotyckie „mozaiki szklane”. To raczej „obrazy sztalugowe przenieszone na szkło” epoki sztylkowej, zatracające niemal o secesję.

Ale, jak powiedzieliśmy, „witrażowanie” okien katedry jest w początkowym stadium realizacji. Wszystkie np. okna górne, a przede wszystkim wielkie okna transeptu, czekają. Powstaje więc pewien problem i rodzi się pytanie: Czy po doświadczeniu dotychczasowym nie należy już zaniechać dalszych odchyleń, a raczej iść dalej po linii przyjętej przez Wojciechowskiego i przez Pękalskich? Trzymać się ściśle kanonów witraża gotyckiego z doby szczytowego jego rozwoju?

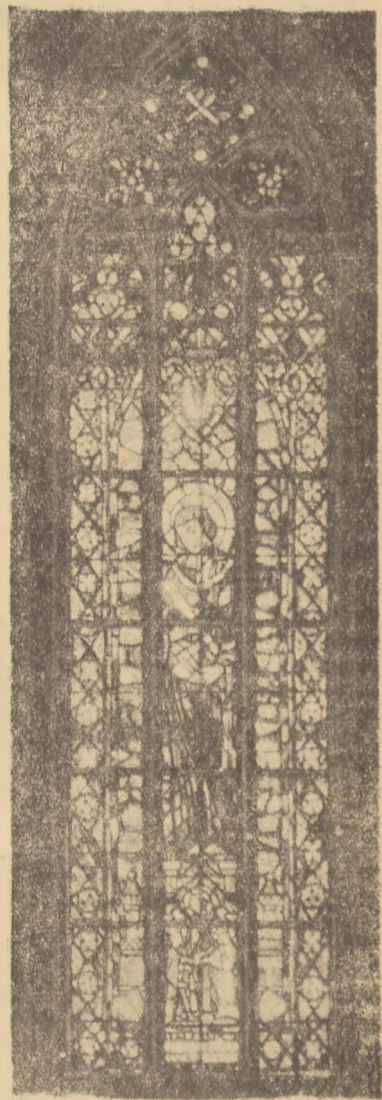
Dzieło odbudowy katedry wrocławskiej otacza swą najtrudniejszą opieką ksiądz infułat Lagosz, ordynariusz tamtejszej archidiecezji. Skoro Krystyna i Stanisław Pękalscy zdali niejako swój egzamin wstępny, sądzić należy, że powierzone im zostaną prace dalsze związane z „witrażowaniem” katedry, tym bardziej, iż opracowali oni już niektóre szkice kompozycyjne okien górnych przedstawiające wzruszającą w swym wyrazie „Matkę Boską Pokoju” w koronie z białych gołębi, brata Alberta, królową Jadwigę, Świętego Jana Sarkandra jednego z patronów Śląska itp. Zapewne podobają temu zadaniu, mimo że ostatnio ksiądz infułat Piskorz, ordynariusz diecezji Stalino-grodzkiej, powierzył im witrażowanie okien wznoszonej właśnie w Stalino-grodzie katedry.

Sprawa witraży katedry we Wrocławiu ma jednak jeszcze pewien akcent szczególny. Oto witraże same, dzieło na miarę monumentalną, ze względów technicznych nie mogły być wykonywane w kraju. Należało sięgnąć do którejś z pracowni zagranicznych i w danym wypadku wybor padł na Niemiecką Republikę Demokratyczną. Witraże dla katedry wrocławskiej wykonywane są w znanej od lat z górnego stępu pracowni Müllera w Quedlin-gen w Saksonii, rozporządzającej imponującą gamą kolorów, bogatym wyposażeniem technicznym i wieloletnim doświadczeniem zarówno kierownictwa, jak i pracowników. Wykonywane w NRD dla katedry wrocławskiej witraże montowane są w oknach tej katedry re-koma polskich robotników zatrudnionych przez zaśluzoną pracownię krajową — Zakłady Zelenichskich w Krakowie.

Tak więc, we Wrocławiu, odwiecznym polskim mieście nad Odrą, katedre, zniszczoną straszliwie przez wojnę, zdobną w czas pokoju zbrotane w wysiłku wspólnym ręce robotników z tej i tamtej strony „rzeźki pokoju” — Odry.

Oto sprawy witraży katedry wrocławskiej akcent głęboki, wymowny i istotny.

*) Opat Saint-Denis, minister Ludwika VI i Ludwika VII, regent Francji w czasie II krucjaty, zwany „Ojcem ojczyzny” (1081-1151).



Św. Wincenty Kadłubek — witraż K. i S. Pękalskich

(Dokończenie ze str. 1)

tym min. Molotow okazać się miał rzekomo niewrażliwy na cierpienia rannych w Dien-Bien-Phu i potraktował jakoby prośbę o pośredniczeniu w sprawie rozejmu nie w kategoriach „ludzkich” lecz politycznych. Jak wygląda ściślość tych sugestii kół min. Bidault?

Rzecznik radziecki poinformował dziennikarzy o rozmowach ministrów w momencie, gdy cała prasa francuska ujawniła ich treść w sposób często niezbyt — powiedzmy — ścisły. Jeśli idzie o rozejm, to min. Molotow ukazując wielkie zrozumienie dla cierpienia rannych żołnierzy francuskich podjął się umożliwić min. Bidault natchymistowski kontakt z delegatami demokratycznego Wietnamu, czyli dać mu możność załatwienia sprawy z kompetentną stroną. Wydawałoby się, że minister radziecki okazał maksimum dobrej woli. Nie on przecież decydować może o rozejmie — wojska radzieckie nie walczą z oddziałami generała de Castris — może natomiast ułatwić kontakt z rządem, z którym kraj jego utrzymuje przyjazne stosunki. Zaproponowanie takiej, jakże skutecznej i jedynie możliwej medycynej pomocy radzieckiej zostało uznane przez min. Bidault i jego otoczenie za chęć wykorzystania katastrofalnego położenia militarnego francuskiego korpusu ekspedycyjnego i tragicznej pozycji min. Bidault wobec opinii francuskiej, domagającej się wielkim głosem bezpośrednich rozmów z demokratycznym Wietnamem. A tego właśnie chciał Bidault za każdą cenę uniknąć i nie może darować Molotowowi, że nie mógł mu w tym d pomóc.

Zresztą pozycja Bidault od początku trudna, stała się teraz po klęsce Dulles i rozpoczęciu nowego natarcia na Dien-Bien-Phu przez generała Jappa — wprost tragiczną. Żołnierze francuscy giną; Wietnam, z którym kontakt jest dotychczas nie nawiązany — zwycięża; Bno-Dal i jego nacjonalisci zaczynają być — o ile to możliwe — jeszcze bardziej amerykańscy niż francuski minister i coraz mniej się z nim liczą. Na przykładzie Bno-Dala Bidault może sprawdzić słuszność uwagi jednego ze sceptycznych myślicieli Francji, który przestrzegał że

„rychlej niż sądzimy, stajemy się niewolnikami kreator przez nas samych tworzonych”.

Cale to widowisko jest niezmiernie smutne. W Genewie, podobnie jak to było w Berlinie, dotkliwie odczuwa się brak głosów prawdziwej prasy. Coraz wyraźniejsze są jednak sygnały, że stan ten nie będzie trwał wiecznie.

Wprost na farsę zakrawa sobotnie posunięcie rządu francuskiego, kiedy to na parę godzin przed nowym szturmem na Dien-Bien-Phu ministrowie z premierem Lanieliem na czele uchwalili słowa uznania dla genewskiej polityki Bidault. Czyli również pochwalili go za opóźnienie przez niego kontaktu z Ho-Sziminem. Właśnie. Najbliższa przyszłość pokaże, czy organizatorom Dien-Bien-Phu uda się przetrzymać jego upadek.

NAWRÓT DO SAMODZIELNEJ POLITYKI

ZDAJE się nie ulegać wątpliwości, że Eden chce odgrywać w Genewie rolę łagodzącą i — w odróżnieniu od Berlina — samodzielna. Jest też prawdą, że Churchill, „najwybitniejszy mąż stanu Zachodu” — jak go tu nazywają, był bezpośrednim sprawcą pokrzyżowania awanturczyńskich planów Dulles i Bidault. Większość wojennej prasy Europy zachodniej wynosi pod niebiosa mądrość angielską.

W tej nowej modzie jest wiele przesady i pewna doza słuszności. Konferencja genewska poświęcona jest Azji i nikt, ktokolwiek zna problemy azjatyckie nie może zapomnieć, że W. Brytania była i w znacznym stopniu pozostała główną potęgą kolonialną na tym kontynencie. Ruch wyzwolenczy we współczesnej Azji ujawnia się w walce przeciwko Brytyjczykom. Francja i Anglia w odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych dobrze znają zagadnienia azjatyckie. W obecnej sytuacji rząd brytyjski miał wiele powodów związanych z ogólną polityką imperialną i wewnętrzną sytuacją Anglii, by postąpić tak, jak

ZMIANA ATMOSFERY

postąpił. Maszerowanie na postronki amerykańskim znudziło się Anglikom, którzy uważają, że polityka Stanów Zjednoczonych nie wywoła wojnę — której Anglia nie chce — doprowadzi do przejścia większości narodów na przeciwną stronę sypanej przez Amerykanów barykady. Churchill doszedł do wniosku, że aby zachować wpływ na południowo-wschodnią Azję — W. Brytania musi jawnie wystąpić jako przeciwnik polityki Waszyngtonu, polityki bezpośredniej interwencji zbrojnej. Dotychczas ostre sprzecznosci i walka podjazdowa anglo-amerykańska były tuszowane. W Genewie nastąpiła nowa faza: świadomego ujawnienia sprzecznosci. Ważnym czynnikiem jest też sprawa rynku azjatyckiego, głównie chińskiego. Eksport angielski, duży ony ciami amerykańskimi i popierany przez Waszyngton produkcję niemiecką, szuka w nowych rynkach możliwości rewansu. Wreszcie konserwatyści nie mogli ominąć okazji do zdobycia jeszcze jednego atutu w stosunku do Labour Party i coraz groźniejszego Bevana, który gwałtownie zaczął grupować koło siebie wszystkie elementy anty-amerykańskie. Uchwalone przed paroma dniami przez Izbę Gmin podjęcie produkcji broni atomowej jest powszechnie przyjmowane jako nowy krok, zmierzający do niezależnienia się od Waszyngtonu. Wszystko to razem nie oznacza jednak, że konferencja genewska na pewno nie spotka się z takimi propozycjami ze strony angielskiej, które mogą być nie do przyjęcia dla ludów Azji.

stanu obozu socjalistycznego zwracał uwagę wyłącznie na to, czy znajdują się w nich jakieś bieżące aktualne propozycje. A właściwie — reagowali jeszcze prościej, szukając tylko odpowiedzi na pytanie, czy takie a takie państwa, czy taka a taka propozycja może być przyjęta przez Waszyngton, czy nie. Tym razem analiza politycznej sytuacji w Azji była tak przekonująca, że wielu komentatorów zmuszonych zostało do zastanowienia się nad podstawowymi problemami i przemyslenia, czy to, co zostało powiedziane, jest słuszne, czy też nie. Próba ustawienia Chin, jako nie wchodzących w skład wielkich mocarstw, nie utrzymała się nawet przez dzień. Dziś — cała poważniejsza prasa pisze, że Chiny Ludowe są piątym mocarstwem i że odswanie ich od ONZ jest polityką nonsensowna. Już sam ten fakt decyduje o historycznym znaczeniu konferencji genewskiej.

Teza, że za bezpieczeństwo Azji odpowiadają w pierwszym rzędzie narody Azji, a za bezpieczeństwo europejskie — narody Europy, coraz bardziej podejmowana jest przez prasę, która do niedawna kwalifikowała ją jako tezę komunistyczną. W przyszłości ogromne będą konsekwencje tego, że „jedność” tzw. państw zachodnich okazała się nie realna w stosunku do Azji, natomiast odwrotnie — wydarzenia azjatyckie coraz poważniej wpływają na sytuację w Europie. Każdy dzień obrad genewskich osłabia pozycję zwolenników europejskiej wspólnoty obronnej.

Konferencja trwa. Toczy się dwoma nurtami: oficjalnym i nieoficjalnym, do którego zresztą w tej chwili obserwatorzy przywiązują większą wagę. Nic dziwnego, że opinia interesuje się bardziej dyskutowaną w nieoficjalnych rozmowach sprawą Indochin niż znajdującą się na porządku dziennym sprawą Korei. W Indochinach leje się krew i pokój świata jest tam aktualnie najbardziej zagrożony.

W ogóle jednak znaczenia konferencji nie wolno ograniczać do zagadnienia Azji. Jej problematyka i

doświadczenia dotyczą wszystkich kontynentów. Pisałem w wstępie o klęsce „pewnej” polityki amerykańskiej. Nie można utrwać pokoju światowego bez udziału i pomocy w tym dziele Stanów Zjednoczonych. Dlatego nie mają racji te pisma amerykańskie i zachodnio-europejskie — wyspecjalizowane w antykomunizmie, które od dwóch dni biją na alarm pisząc: „Mocarstwa zachodnie tracą „twarz”, „Kłeska polityki amerykańskiej”, „Izolacja Stanów Zjednoczonych” itd. Tak nie jest. Traci twarz pewna polityka państw zachodnich, izoluje się coraz bardziej pewna polityka Stanów Zjednoczonych. Ale nie jest to żadna klęska Ameryki. Przeciwnie. Okiełznanej wojennej i imperialistycznej polityki kół waszyngtońskich leży w równym stopniu w interesie Stanów Zjednoczonych, jak i innych państw wielkich czy małych. Jedyną bowiem konsekwencją tej polityki musi być coraz ostrzejszy podział świata i coraz realniejsza groźba wojny. To właśnie jawne szukanie katastrofy zbiorowej izoluje dotychczasową politykę amerykańską. Jeżeli pokój ma być utrzymany, polityka ta musi zniknąć. W drugiej bowiem połowie XX wieku nie można zapewnić pokoju światowego wbrew narodowi amerykańskiemu, lecz razem z nim.

Dominik Horodyński

SILA SŁUSZNEJ SPRAWY

RASA polska podala genewskie przemówienia Molotowa, Czou-En-Laia i Nam Ira. Przemówienia te słuchane tu były z wielką uwagą i — co jest rzeczą nową — obserwatorzy zainteresowali się głębiej ich stroną merytoryczną. Od kilku bowiem lat stało się smutnym zjawiskiem, że komentatorzy zachodni słuchający wystąpień mężów

Redaguje Zespół Prenumerata miesięczna 4 zł kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 42, tel. 8-60-1 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze i Zakłady Drukarskie i Wkiesłodrukowe RSW „Prasa” w Warszawie, ul. Wolska 35, tel. 898 5 B 150052

Redaguje Zespół Prenumerata miesięczna 4 zł kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 42, tel. 8-60-1 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze i Zakłady Drukarskie i Wkiesłodrukowe RSW „Prasa” w Warszawie, ul. Wolska 35, tel. 898 5 B 150052

DZIS I JUTRO 7

*** PAX ***

Ks Eugeniusz Dąbrowski
PROLEGOMENA
DO NOWEGO TESTAMENTU
cena zł 20. —

Th. Deman O. P. R.
CHRYSIUS PAN I OKRATES
cena zł 30. —

Alessandro Manzoni
NARZECZENI
dwa tomy cena zł 60. —

A. J. Cronin
KLUCZE KRÓLESTWA
cena zł 30. —

Mateusz Żurawiec
WIEC W ŚRODKU
CZŁOWIEKA
cena zł 10. —

Mikołaj Rostworowski
PRZECIWI NOCY
cena zł 12. —

Maria Zientara-Malewska
— Michał Lengowski
— Teofil Raczyński
— Alojzy Sława
POEZJE WARMII I MAZUR
cena zł 10. —

Wysła Bluno Sprzedaży „Pax”
Warszawa Mokotowska 43, za
zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu
na konto PKO, W.wa, 1-8515,114
Przy wpłatach na PKO prosimy do-
liczać zł 3. — na koszty przesyłki.
Do nabycia we wszystkich skle-
pach „Veritasu”.

„CZAS W SŁOŃCU“



Zdjęcie z filmu „Rio Escondido“

Meksyk przez wiele lat nie posiadał własnej kinematografii. Stosunkowo duża ilość kin zasilana była filmami importowanymi z USA. Producenci z Hollywood dobrze pilnowali swoich interesów i lata międzywojenne przyniosły jedynie kilka nawiązanych dokumentalnych filmów folklorystycznych. Toteż obrazy niekłamnego Meksyku widziane z fragmentów filmu Eisensteina „Que viva Mexico“ (1932), czy groźnej dokumentalnej „Fali“ Stranda (1935), a wreszcie „Zapomniane wioski“ (1941) Kleina były wstrząsające.

„Filmowość“ Meksyku odkryta przez cudzoziemców niewątpliwie nie pozostała bez echa w świadomości twórców i kiedy ograniczony import z krajów walczących podczas drugiej wojny światowej stworzył możliwość budowy własnego przemysłu — Meksykanie nie czekali. Wtedy właśnie na czoło twórców walczących o narodową kinematografię wysunął się reżyser Emilio Fernandez i operator Gabriel Figueroa — najbardziej reprezentatywne dziś postacie filmu meksykańskiego.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że stworzenie odrębnego stylu przez kinematografię meksykańską, która mimo poczynionej wylomu uależniona jest finansowo od Hollywoodu i znajduje się w orbicie wpływów jego standardowej produkcji, nie jest zadaniem łatwym. Toteż początkowe eksperymenty tej nieodłącznej niemal pary twórców — Fernandez — Figueroa — nie należały do udanych i pierwszym ambitnym próbom trudno przypisać bardziej trwałe wartości, czego dowodem była choćby wyświetlana u nas przed kilkakult „Pepita Jimenez“.

Pierwszym filmem, który zapisał się trwale w artystycznym dorobku kinematografii, a jednocześnie otworzył przed narodowym filmem meksykańskim ekrany świata, była „Maria Candelaria“ (1945). Była to historia dziewczyny z ludu, która ginie ukamienowana wskutek barbarzyństwa mieszkańców jednej z wiosek. Film ten, wyświetlany po raz pierwszy w Europie na pierwszym festiwalu w Cannes, wrzeszał swoją szczerością i subtelnym klimatem uczuciowym, dalekim od płytkiego psychologizowania, prostotą gry aktorskiej, brakiem patosu oraz rewelacyjną oprawą zdjęciową. Film nakreślony przeważnie w plenerze, posiadał epicki oddech i klimat bliski najlepszym wzorom niemieckiej kinematografii, gdzie wartości wizualne posiadały tak niestety często gubioną przez filmy współczesne ekspresję.

Następne filmy Fernandez i Figueroa były potwierdzeniem stylu „Marii Candelarii“: „Perla“, „Maclovia“, „Niekochana“, „Rio Escondido“, czy wyświetlana u nas obecnie „Paloma“ — to proste historie z życia wsi meksykańskiej o głęboko emocjonalnych wartościach i bezkonkurencyjnej fotografii. Jest w nich wiele potwórzeń i reminiscencji tego pierwszego znakomitego filmu — piękne, ciche i głęboko kochające kobiety, bohaterki z wrodzonym, chociaż gnębni i poniewierani przez silniejszych i złych a w równie walece zawsze wygrający — mężczyźni. Świat wieśniaków pragnących uczciwie pracować i kochać, i świat okrutnych plantatorów, czy chytrych i podłych urzędników, którzy są niemal baśniowym uosobieniem zła. Filmy te — to obrazy kraju urzekającego codziennym pięknem: spowitych w czarne suknie posagowych postaci kobiet, ocienionych ogromnymi sombreroami mężczyzn płomiennych i ostrych agaw, niekoczających się grzywo kukurydzyowych plantacji, łańcuchów górskich strzępiących obłoki na zda się wiecznie słonecznym niebie; wioski z kapliczkami i nędznymi ale zawsze pięknymi domkami, o-

KILKA SŁÓW

o plastyce

OdBudowa katedry w Berlinie

W Berlinie trwają obecnie prace nad odbudową zniszczonej podczas ostatniej wojny katedry św. Jadwigi. Zbudowana w drugiej połowie XVIII wieku na wzór rzymskiego Pantheonu katedra ta należy do najcenniejszych zabytków katolickiej architektury kościelnej w Niemczech. Odbudowa kościoła podjęła dopiero po dziesięciu latach od zakończenia wojny obecnie szybko posuwa się naprzód, dzięki ofiarom wiernych i to zarówno ze wschodnich jak i zachodnich Niemiec. Z wydatną pomocą przyszedł rząd NRD, który udzielił wysokich subwencji na odbudowę zniszczonej katedry.

W ostatnich dniach kwietnia w gmachu „Zachęty“ w Warszawie odbyło się uroczyste otwarcie wielkiej wystawy sztuki czeskosłowackiej XIX i XX wieku. Współpracy Kulturalnej z Zagranicą. Na otwarcie wystawy przybyli przedstawiciele rządu polskiego, ambasador Republiki Czesosłowackiej, Karel Vojacek, oraz członkowie korpusu dyplomatycznego. Komisarz Wystawy, znany historyk sztuki, dr M. Miesko, wyjąłnił pokrótko zabytki sztuki rozwojowe plastyki czeskosłowackiej.

PARYSKI SALON „NIEZALEŻNYCH“

W roku bieżącym po raz sześćdziesiąty pląty Paryż ogląda wystawę „Niezależnych“. Wystawy te mają swą wspólną tradycję. Pierwszy taki Salon zorganizował w 1884 r. przez „Towarzystwo Artystów Niezależnych“. Celem jego, jak głosił statut, było: „Nieskrepowane zaprezentowanie osądowi publiczności dzieł, które nie znalazły miejsca w Salonie oficjalnym“. Młody Guillaume, Odilon Redon, Signac, Seurat wystawili wtedy swoje obrazy. W późniejszych latach Van Gogh, Toulouse-

Lautrec, fauwiści i kubiści również brali w nich udział.

Tegoroczny Salon jest niezwykle bogaty. W 70 salach zgromadzono bowiem 3.154 dzieł sztuki. W największym dziale, jakim jest malarstwo, można zaobserwować ogromną różnorodność kierunków artystycznych. Podobnie jak w roku ubiegłym malarstwo realistyczne jest bardzo bogato reprezentowane.

CHIŃSKA WYSTAWA W BRUKSELI

Dużym zainteresowaniem cieszyła się niedawno otwarta w Brukseli chińska wystawa artystycznych wyrobów rzemieślniczych, zorganizowana przez Belgijskie Towarzystwo Handlu z Zagranicą. Na wystawie pokazano artystyczne wyroby chińskich rzemieślników, m. in. dywany, gobeliny, wazy, rzeźby w drzewie i kości. Wystawiono również wiele przedmiotów domowego użytku.

o teatrze

WYSTAWA POSWIECONA „COMEDIE FRANÇAISE“ W MOSKWIE

Jak podaje „Sovietskaja Kultura“ w jednej z sal Biblioteki Literatury Obcej otwarto wystawę poświęconą historii teatru „Comédie Française“. Jak wiemy, teatr ten odniósł wielkie sukcesy na występach gościących w Związku Radzieckim.

Na wystawie zgromadzono szereg monografi rosyjskich i radzieckich teatrologów poświęconych zagadnieniu teatru francuskiego a w szczególności Comédie Française. Oprócz tego znalazł się na wystawie bogaty zbiór starzych wydań najświetniejszych dzieł dramatografów francuskich, m. in. Mollera, Beaumarchais, Marivaux, W. Hugo. Osobny dział stanowią przekłady różnych dzieł dotyczących teatru z języka francuskiego na język rosyjski.

ZMIANY W TEATRACH BERLIŃSKICH

Zniszczony w czasie wojny gmach berlińskiej „Volksbühne“ (Teatr Ludowy) przy placu R. Luksemburg został w ostatnim czasie odbudowany jako jedna z najnowocześniejszych budowli teatralnych Europy (średnica sceny obrótowej 18 m, około 1000 reflektorów). Gmach przejmują zespół dotychczasowego teatru Am Schiffbauerdamm dając w nowej siedzibie premierę „Wilhelma Tell“ Schillera w inscenizacji laureata nagrody państw. dotychczasowego dyrektora zespołu Fritza Wislana. Jako dalsze premiery „Volksbühne“ przewiduje się „Poskromienie złośnicy“

SZKOŁA ODWAGI

(Refleksje na marginesie wystawy Guttusa)

KIEDY w kilka miesięcy po wyzwoleniu Neapolu urządzono uroczystą, okolicznościową wystawę, znalazło się na niej kilkadziesiąt prac antyfaszystowskich artystów.

Przedmowa do katalogu w płomienistych słowach opiewała wolność i utęsknioną swobodę malarskiej wypowiedzi. Na wystawie pokazano obrazy powstałe w skrytości w okresie panowania Mussoliniego — malarstwo podziemne. Dziwny i niespodziewany był charakter i tematyka prac artystów zwalczanych przez faszystów. Sentymentalne bukiety kwiatów, wytworne portrety, widoki z Capri, gdzie na tle słodkiego krajobrazu płały wdzięczne nagusy. Przejścia wojenne znalazły swój wyraz w paru uroczych pejzażach z wymalowaną na pierwszym planie kupą samochodowych wraków. Ani śladu antyfaszystowskiej satyry. Kulturalni panowie malarze nie nauczyli się niczego z lekcji wyłożonej pięściami boskiego il Duce. Nie chcieli albo nie umieli użyć sztuki jako narzędzia protestu i walki.

Najwybitniejsze nazwiska współczesnej włoskiej plastyki kojarzy się z biernym fabrykowaniem jałowych płócien. Chirico kroił w rozmaitych wersjach dziarskie koniki nad brzegiem jakiegoś mistycznego morza, Severini kontynuował swoją paryską chlapaninę, a nowo odkryty Morandi malował od

żużonej krytyce. Esteci orzekli, że jest w złym guście — „cattivo gusto“.

We Włoszech Guttuso był powiewem świeżego prądu w sztuce. Głęboko ideowa postawa wobec rzeczywistości, związane się z aktualnymi problemami życia były tak różne od obojętności i bierności włoskiej sztuki, a tak zbieżne z tendencjami naszej współczesnej plastyki, iż dobrze się stało, że zobaczyliśmy wystawę jego prac w Warszawie. Malarstwo nasze wyrwało się już dawno z bezideowości cechującej zachodnią sztukę; mimo to jednak wystawa Guttusa, pokazująca odmienny od naszego, bardziej gorący realizm była wielkim odświeżeniem po polskiej współczesnej plastyce.

Srodki malarskie, którymi operuje Guttuso, różnią się od techniki naszych malarzy. Nie tylko tu jednak tkwi decydująca różnica. Guttuso jest odmienny przez swą odwagę i szczerść, swą bezkompromisowość i ostrość poruszanych tematów. Dlatego nie można uważać jego malarstwa za etap, który polska plastyka już minęła. Za okres formalistycznych wpływów, jak w wypadku Guttusa, wpływów Kokoschki czy Picassa. Nie widzieliśmy w polskim malarstwie takiego rozmachu, takiej żywiowości, takiej tematycznej dosadności. Nie było tak spontanicznych wypowiedzi. Cechą niemal powszechną na-

odważnych poszukiwań, błędów pięknych, bo popełnionych z żarliwością.

Postacie na naszych obrazach ulepione z brudnego błota, wyduszone, precyzyjnie wycykane nie mają tej siły przekonawania co żywy, walczący, krwawiący człowiek Guttusa. Statyczne, wykombinowane kompozycje o zmniejszonej symbolistyce nie mają tej bezpośredniości i siły, jaką widzimy w obrazie umierającego w szpitalu komunisty czy zbuntowanego sycylijskich chłopów.

Guttuso jest antytezą poprawności. Drażni swoim krzykiem i ekspresją tych, którzy przyzwyczaili się do naszych często akademickich tematycznych kompozycji. Drażni ostro i jasno postawioną ideologią tych, do których docierać mogą tylko spokojniejsze, bardziej ugrzesznione obrazy. Drażni często niemierną jaskrawością ultramarzyn czy cynobru tych, którzy patrzą na obraz wyłącznie jak na umiejętnie zakomponowane i pokryte kolorem płótno — obojętnie czy tym kolorem jest brunatny monachijski sos, czy wyuzdane ale zawsze pięknie zestawione barwy gamy szkoły paryskiej. Drażni, zaskakuje i zmusza do myślenia.

Guttuso wywołuje sprzeciw burżuazyjnego, włoskiego środowiska. O szczerości jego przekonań nie można wątpić. Każdy jego obraz to gorący, dyszący protest, to krew i pot włoskiego robotnika.

Bezkompromisowa walka z jasno określona, aż nazbyt „wyczuwalna“ przemocą burżuazji dała w wyniku sztukę urzekającą rozmachem i bojowością. Czy jednak jedynie w ogniu bezpośredniej walki mogą powstać dzieła tak szczerze i prawdziwie? Plastyka polska mająca szerokie możliwości rozwoju, polityczne i finansowe poparcie rządu, ogranicza się w ogromnej większości do zimnych, wymuszonych kiczów. Gdzie jej ładunek emocjonalny, gdzie sugestywność, gdzie świeżość i zapal młodzieńczy? Wystawy stały się oficjalnym przeglądem umownych, nieosobistych płócien. Czy w tak ułatwionych dzisiaj warunkach rozwoju realistycznego malarstwa, które ma głosić i nie tylko głosić, ale krzyknąć i śpiewać o naszych przeobrażeniach i osiągnięciach, radować się z naszych zwycięstw, nie możemy stworzyć malarskiej poezji? Czy naprawdę musimy ograniczyć się do nudnych, malowanych referatów, czy występekanych artykułów o malarskiej poprawności?

To nie jest malarstwo na miarę naszej epoki. Konieczne jest ożywienie plastycznej wypowiedzi, przywrócenie do życia drewnianego manekinu, jakim stała się w ogromnej większości nasza plastyka. Nie widać w obrazach żywych ludzi, częściej jakiś czarodziej przywraca do życia Gogola czy Kopernika, niż inny czarodziej namaluje realnego polskiego robotnika, który nie tylko zastępa w upozowanej, konwencjonalnej pozie, z grzesznym uśmiechem przy swym warsztacie pracy na usługi pana malarza, ale bawi się, je, kocha, ma swoje życie, swoje marzenia, swoje kłopoty. Malarze pokazują nam zwykle robotnika z kokardką, sztucznie uświetnionego, wypranego z codzienności. To nie jest prawdziwe. To jest sztuka z wachlarzykiem i maseczką.

Malarstwo Guttusa pachnie prochem i krwią. Walczy z chadecją. Walczy z burżuazją. Walczy z kapitalizmem. Ma wielu bezpośrednich wrogów. Uczy jednak odwagi, pałaj i entuzjazmu. Jego dynamika przeszczerzona w świat problemów kraju budującego socjalizm byłaby celnym ciosem budującym z drzemki i odrętwienia tych malarzy, którzy sączą, że spełniają swą społeczną funkcję malując brudnymi kolorami nudne, umowne kukły w kombinacjach. Przyrzadzają w pracowniach z produktów naszego bogatego życia zupki ani ciepłe ani zimne, mdle i jałowe, chemicznie czyste i sterylizowane. Południowcy gustują może w ostrzejszych potrawach, ale nie jesteśmy przecież Eskimosami.

„Sen nocy letniej“ Szekspira, „Anne Karenine“, „Bonaparte w Jaffie“, komedie hiszpańska, któraś z berlińskich fars, następnie zaś „Trzy siostry“ Czechowa i „Przed zachodem słońca“ Hauptmanna. Gmach teatru Am Schiffbauerdamm objął korzystający dotąd z gościnny w Deutsches Theater „Berliner Ensemble“. Inauguracyjną premierą teatru brechtowskiego w nowej siedzibie był „Don Juan“ Moiera.

SZTUKI GARCIA LORKI NA SCENIE PARYSKIEJ

W paryskim Théâtre l'Oeuvre została wystawiona dwuletnia dzieła sztuki wielkiego poety hiszpańskiego Garcia Lorki, zamordowanego przed dwudziestu laty przez oddziały faszystowskie Franco. Tytuły sztuk wielkiego Hiszpana brzmią: „Tren na śmierć Mojusza“ i „Byk“. Dekoracje i kostiumy do tych sztuk przygotował niemiecki sławny reżyser Garcia Lorki — Pablo Picasso.

„EUROPA“ — SZTUKA KARDYNAŁA RICHELIEU

napisana w r. 1642 z pomocą m. in. Desmaresta L. Connelletta weszła w inscenizację Henri Demay na scenie teatru „L'Equipe“ w Paryżu. „Europa“ jest sztuką alegoryczno-polityczną, przedstawia zabieg pysznego i wojowniczego Ibera (Hiszpania) oraz dyskretnego Francona o zdobycie pięknej księżniczki Europy. Sztuka zawiera aktualnie myśli o pokoju, które zdaniem recenzentów mogłyby wiele nauczyć francuskich ministrów. Inszenizacja wskazywała prosto swych dekoracji oraz piękno kostiumów, światła, muzyki na wpływ teatralnego stylu Théâtre National Populaire.

o wszystkim

JUBILEUSZ „HUMANITE“

4 kwietnia 1954 r. popularne pismo francuskie „Humanité“ — centralny organ Komunistycznej Partii Francuskiej — obchodziło 50-lecie swej działalności. Założycielem i pierwszym redaktorem tego pisma był Jean Jaurès, który został zamordowany w przeddzień pierwszej wojny światowej. Od 1926 r. aż do swej śmierci w r. 1937 redaktorem naczelnym „Humanité“ był Vaillant-Couturier, autor znanej kstałki „Dzieciństwo“. Obecnie pismo jest kierowane przez Marcel Cachin i André Silla, laureata Nagrody Stalinowskiej.

WIELKIE ROCZNICE

Podobnie jak w latach poprzednich i w tym roku Światowa Rada Pokoju wystąpiła z inicjatywą obchodu rocznic

trzydziestu lat wlicenie te same butelki, dzbanki i lichtarze.

Jedynym wyjątkiem był Guttuso, który od 1937 r. dawał w swych pracach wyraz postępowym, społecznym i politycznym. Po wojnie zgromadził się wokół niego grupa młodych, rosnących liczebnie z każdym rokiem. Krwiste dynamiczne malarstwo nie mogło podobać się bur-

szej plastyki jest nuda i schematyzm. Nie pokazano nam na naszych wystawach wysiłku malarzy może czasem niezupełnie poprawnego i pokrywającego się z kryteriami krytyki jury, ale wysiłku przekonywującego swą szczerością. Pokazywano za to ogromne ilości beznamytnych konwencjonalnych płócien. Zabrakło eksperymentu,



Renato Guttuso — Grecja rok 1952